Tyszkiewiczowie. Kretynga 1.



Pałac w Kretyndze, fotograf nieznany, 1925 r., © Kretinga Museum

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Kretynga leżała na Żmudzi, nad rzeką Okmianą, na drodze z

Taurogonu. W chwili kupna, majątek był brzydki, nie było żadnego dworu tylko dwa domy położone jeden wyżej, drugi niżej. Z dawnych czasów przetrwała „Stara Szwajcarka” i stare dęby, sadzone jeszcze przez Chodkiewiczów, dawnych właścicieli, pochowanych w krypcie kościelnej. Drzewa te zostały otoczone wyjątkową opieką, puste w środku wypełniono kamieniami, a na zewnątrz ściągnięto żelaznymi obręczami. Nowo wybudowana rezydencja nie miała określonego stylu i nie przypominała z przepychem urządzonego pałacu. Nadal wyglądała jak dwa osobne domy, tyle że odnowione. Różnica poziomów między nimi wynosiła ok. 2 metrów.

Na pierwszym piętrze wyższego domu urządzono bibliotekę, obok gabinet, z którego hr Józef kontrolował przez lunetę ruch w alei lipowej. Przy oknie w gabinecie znajdowała się tzw. „trąba”, przez którą można było porozumiewać się z kancelarią na parterze. Za gabinetem i biblioteką, pokój sypialny właścicieli, a obok ubieralnie i garderoby. Na parterze oprócz kancelarii, pokoi służbowych i kuchni zainstalowano łazienkę, niestety tylko jedną dla wszystkich domowników. Ponieważ od strony drugiego, mniejszego domu wjeżdżało się do rezydencji, na parterze znajdował się duży hol. Obok był pokój jadalny, używany tylko dla dzieci na ranne śniadania, poza tym duży salon oraz pokoje gościnne i kredens. Z wielkiego korytarza na pierwszym piętrze z jednej strony widać było park i kaskadę, a z drugiej ogród zimowy z ozdobnym balkonem. Z korytarza wchodziło się do

pokoi dziecinnych, pokoi guwernantek i gościnnych. W suterenie znajdowała się jadalnia dla administracji, tzw. „drugi stół” i jadalnia dla służby tzw. „trzeci stół”, kredens, spiżarnia i mała kapliczka.



Józef Tyszkiewicz, 1881-1885 r., fot. Aleksander Władysław Strauss, © Kretinga Museum



Zofia z Horwattów Tyszkiewiczowa, 1908 r., fot. H. Gaudichon, © Kretinga Museum

Ale hr Józef nie byłby sobą, gdyby nie zaczął wymyślać czegoś oryginalnego. Tak więc te zwykłe w sumie domy połączył, urządzonym z baśniowym przepychem, sławnym potem w całej Europie, Ogrodem Zimowym. W ogrodzie wybudowano małe stawy, połączone kanałami, a nad nimi przerzucono mostki. Nad stawami dwa wodotryski. Między nimi kaskada wpadająca do trzeciego stawu z wysokości jednego piętra. Dół ogrodu otoczono

sztucznymi skałami i grotami. W największej z nich podawano potem bezpłatnie podwieczorki licznym wycieczkom przybywającym z Kłajpedy, Tylży, Królewca i letnikom z Połągi. W grocie tej można było zmieścić aż sto osób. Sprowadzono niezwykle cenne okazy egzotycznych roślin. Słynna „Aurecaria" dochodziła do wysokości drugiego piętra. Tę samą wysokość osiągały liczne palmy sprowadzone z Afryki. Ogród Zimowy oświetlony był trzema łukowymi lampami elektrycznymi, dla których hr Józef wybudował elektrownię poruszaną turbiną wodną podczas jesiennej słoty, a parą wodną uzyskaną z opalanego drzewem lub torfem wielkiego kotła, podczas zimy. Z czasem lampy łukowe zamieniono na żarówki. Elektrownia domowa służyła też potem do oświetlenia pałacu, domów administracyjnych, zabudowań folwarcznych itd.

W chwili zakupu w Kretyndze nie było parku, oprócz starych drzew, pozostałości po hetmanie Chodkiewiczu. Hr Józef sprowadził więc z Schönbrunnu pod Wiedniem, Węgra, pana Hajduka, słynnego ogrodnika-planistę, dla zaprojektowania kretyngowskiego parku i dopilnowania wszystkich robót. Słynny królewski ogrodnik zabrał się więc do pracy. Teren wybitnie nadawał się do założenia parku, ze względu na naturalnie pofałdowany teren i rzekę Okmianę, oraz wpadający do niej malowniczy strumień. W parowie, wzdłuż trasy strumyka ustawiono trzy zapory wodne. Utworzono trzy stawy. Dwa stawy zasilały turbinę wodną, a przy okazji woda spływająca po

sztucznych skałach tworzyła malowniczą kaskadę. Trzeci, najwyżej położony staw, mający ok. 2 km, zasilał park, pałac i niektóre zabudowania gospodarcze. Ten staw w obrębie parku, stanowiący kiedyś podmokłą część lasu, był od zabudowań na tyle oddalony, że zamieszkiwały go stada dzikich kaczek, czapli i pary czarnych bocianów.



Fragment parku w Kretyndzie, fot. Józef Mickiewicz, pocz. XX w., © Kretinga Museum

Park składał się z trzech części. Ogród francuski, znajdował się przed samym pałacem. Cztery duże kwadraty, czyli tzw. „gabinety”, otoczone były szpalerami strzyżonych lip. Każdy kwadrat ozdobiony został cementowym basenem z wodotryskiem, wypływającym z dużych kompozycji z brązu. Po

rogach kwadratu na cokołach ustawiono mitologiczne rzeźby. Ścieżki wysypano żwirem i kwiaty, przeważnie róże, poukładano w wielkich ilościach. Park angielski otaczał stawy, aleję i ścieżki. Do parku włączono las ze wszystkimi polankami i dróżkami. Na tym terenie znajdowała się „Bażantarnia" i wielkie ogrody warzywno-owocowe oraz liczne szklarnie, tzw. „cieplarnie". Park w całości zajmował ok. 300 dziesięcin.

Kretynga, jak każdy majątek, miała mnóstwo folwarków. Wszystkie folwarki i leśnictwa połączono z administracją kretyngowską, siecią telegraficzną, zamienioną potem na telefoniczną. Telefony nie posiadały centrali i dzwonków. Ze ściany wystawała gruba rura, służąca jednocześnie do słuchania i rozmowy. Na każdej wisiała trąba, którą wzywano odpowiedni folwark. Z powodu braku centrali elektrycznej, sygnał i rozmowy słyszały wszystkie folwarki oraz leśniczówki jednocześnie. Każdy odbiorca miał umówiony sygnał, jeden długi, jeden krótki, dwa długie itd. Personel zatrudniony przy utrzymaniu linii powietrznych na słupach, obsługiwał te linie, jeżdżąc na wielocypedach (rower z przednim kołem wielkim i dwoma małymi z tyłu). Hr Józef nadal miał pasję nabywania wszystkich nowości technicznych, jakie pojawiły się na europejskim rynku. Szczególnie dotyczyło to maszyn rolniczych. Z reguły nie nadawały się one do tutejszych warunków. Po pierwszej próbie odstawiano je więc do specjalnie na ten cel przeznaczonej hali.



Pałac w Kretyndzie, fot. Paulina Mongird, 1890 r., © Kretinga Museum



Pałac w Kretyndze, widok na oranżerię, fotograf nieznany, pocz. XX w, © Kretinga Museum

Majątki Kretynga i Połąga, położone na samym końcu Żmudzi i Kurlandii, pomiędzy granicą pruską, a morzem Bałtyckim, nie miały żadnego połączenia kolejowego z resztą Rosji, ani nawet dobrych dróg. Najbliższa stacja kolejowa, Libawa, znajdowała się w odległości 70 wiorst (ok. 71 km), a drogą do Libawy można było przejechać tylko latem. W Landwarowie kolej przebiegała za blisko, tu za daleko. Z konieczności stosunki z Prusami stały się więc ożywione. Memel, czyli Kłajpeda, oddalona była zaledwie 20 km, a na codzienny użytek mieszkańcy nadgraniczni otrzymywali, odnawialne, dwutygodniowe przepustki. Do tego portowego miasteczka jechało siękońmi ok. 2 godzin. Droga do

granicy była błotnista i wyboista, ale zaraz za nią wjeżdżało się na niemiecką porządną szosę. Za szlabanem granicznym odpowiedni urzędnik pobierał opłatę, wyciągając na długim kiju naczynie przypominające łyżkę, służące do wrzucania pieniędzy. Przez granicę wolno było przejeżdżać tylko od wschodu do zachodu słońca, tak więc przy większej ilości spraw, należało w Memlu przenocować. Początkowo służył do tego celu miły hotelik w centrum, a potem hr Józef kupił na obrzeżach miasta domek z ogrodem i tam można już było się swobodnie zatrzymywać. Do pilnowania domu wynajęto Frau Klein, która wraz z mężem prowadziła gospodarstwo. Głównym jej zadaniem było jednak przyjmowanie ogromnej ilości paczek, które przychodziły do Tyszkiewiczów i nie tylko. Zawartość paczek to książki drukowane w Poznaniu i Krakowie, a zakazane w Wilnie czy w Warszawie. Nie tylko polskie, ale i litewskie, jak np. książka do nabożeństwa drukowana w Tylży. Rosjanie chcieli przyzwyczaić Litwinów do czytania cyrylicą i głagolicą, nie zgadzali się na książki pisane alfabetem łacińskim. Ponieważ rozporządzenie wyszło w 1863 r. przewożono książki, drukowane niby wcześniej, wtedy uchodziły za zabytek. Odpowiedni urzędnik na granicy otrzymywał od hr Józefa stałą opłatę w gotówce i w naturze, przymykał więc często oczy na te ogromne ilości książek polskich i litewskich, rozsyłanych potem do Wilna, Kowna i Warszawy. Dla dzieci taki szmugiel był zwykle dużą zabawą, a przy tym miały one poczucie spełnienia obowiązku patriotycznego.

Wyjazdy dalsze do Wilna, Warszawy czy Petersburga było bardziej skomplikowane. Za każdym razem trzeba było postarać się o paszport i pisać w tym celu podanie do Kowna, a czasem i do Petersburga. Paszport był ważny na jeden wyjazd, bez względu na granicę, którą się przekraczało i jeden wjazd z powrotem. Powodowało to duże utrudnienia w podróżowaniu. Bo jeśli wyjechało się w Kretyndze, a wjechało w Wierzbołowie, jadąc do Wilna, w Wilnie trzeba było się starać o nowy paszport, aby móc wrócić do Kretyngi.

Kretynga leżała na Żmudzi, a Połąga w Kurlandii. Obie miejscowości należały do zaboru rosyjskiego, ale w Kretyndze można było używać języka polskiego jedynie w publicznych wystąpieniach, natomiast w Połądze swobody były większe, organizowano więc polskie przedstawienia, śpiewano pieśni, co dla Polaków jest zawsze bardzo ważne.

Ludność z okolic Kretyngi mówiła po żmudzku, ale z urzędnikami rozmawiało się po polsku, gdyż przez wiele lat właścicielami ziemskimi byli Polacy i przez kontakty z Polską, niektóre warstwy społeczeństwa litewskiego przejęły polską kulturę. W Połądze, mimo że położonej w Kurlandii, przeważnie słyszało się język żmudzki, a za Połągą ludność mówiła po łotewsku. Łotysze zachowali swój strój narodowy, co bardzo rzucało się w oczy. Kobiety chodziły w krótkich, fałdowanych spódnicach oraz w gorsetach z białymi, płóciennymi rękawami i w fartuchach, a

wszystko w kolorach czarno-granatowo-zielonych. Ze względu na bliskość Kłajpedy rozpowszechniony był w tych okolicach język niemiecki. Poza tym Żydzi używali żargonu, a urzędnicy mówili po rosyjsku.



Aleksander Tyszkiewicz, który odziedziczył Kretyngę (1864–1945), fot. Benedykt Henryk Tyszkiewicz, II poł. XIX w., © Kretinga Museum

Życie rodziny Tyszkiewiczów toczyło się więc między Kretyngą a Połągą, między zimą a sezonem letnim, połągowskim. Wszystko

szło swoim rytmem. Dzieci rosły, chłopcy uczyli się w Petersburgu, pozostając pod opieką wychowawcy pana Bahra. Przyjeżdżali do domu tylko na wakacje i święta. Dziewczynki miały swoich domowych nauczycieli. Każde z dzieci wykazywało inne zainteresowania, miało inne upodobania i charakter.

Aleksander, dobroduszny, szczupły, o jasnych włosach, ciemnych brwiach i oczach jak u *poczciwego, wiernego psa*, był bardzo lubiany. Uprzejmy pogodny, miał zawsze coś ciekawego do powiedzenia. Gdy wracał z jakiejś podróży opowiadał wszystko ze szczegółami, od samego początku, od wyjazdu. Mówił przy tym tak barwnie i z tyloma opisami, które wprawdzie nie zawsze miały zbyt dużo wspólnego z prawdą, ale słuchać go można było godzinami.

Władysław był zawsze pełen życia i bardzo towarzyski. Jako wielki esteta interesował się strojami, meblami, sztuką, antykami. Trochę zbyt lekkomyślnie wydawał pieniądze i dlatego zwykle miał długi. Jako mały chłopiec mniejsze, potem, jako starszy większe.

Antoni, w młodości bardzo szczupły, potem diametralnie zmienił kształty. Był typem dobrodusznym, nigdy nikomu niczego nie miał za złe. Robił wciąż jakieś interesy, na przemian dobre i złe.

Józef, bardzo wysoki brunet, zupełnie był inny niż jego bracia.

Bardzo oszczędny, skrupulatny we wszystkich drobiazgach. Nie znosił, żeby uważano go za lepszego niż sam się uważał. Jeśli ktoś go pochwalił za jakiś dobry uczynek, zaraz się tłumaczył, że intencje jego nie były tak szlachetne.

Feliks, wyróżniał się wybitną urodą. Jasny blondyn o regularnych rysach twarzy i pięknych oczach w ciemnej oprawie. Kiedyś, gdy przyszedł w odwiedziny do ciotki Klementyny Potockiej z Łańcuta, ta zawołała *jakiś ty piękny, jak to zrobiłeś mając tak brzydkich rodziców.* Poza tym Feliks był cichy, skryty, łagodny.

Bracia mieli zaplanowane zawody, wiadomo było, do jakich szkół pójdą. Aleksander i Feliks do Szkoły Inżynierów Wojennych, Władysław do Szkoły Prawa, Antoni do Instytutu Aleksandryjskiego, Józef do Korpusu Paziów.



Maria Tyszkiewicz (1871–1943) w parku w Kretyndzie, fotograf nieznany, pocz. XX w., © Kretinga Museum

Z sióstr Maria była silną indywidualnością. Od najmłodszych lat zapowiadała, że za mąż nie wyjdzie, bo interesuje ją nauka. Już mając kilkanaście lat wymogła na rodzicach, żeby uczyć ją wyższej matematyki. W tym celu przyjeżdżał raz na tydzień nauczyciel z Gimnazjum w Połądze. To samo było z religią. Maria wciąż coś studiowała, wciąż miała nowe „hobby”. Matematyka, fizyka, filozofia, poezja, a nawet esperanto.

Zosia była innym typem. Cicha i spokojna, a przy tym bardzo wrażliwa i inteligentna. Nigdy nie odzywała się nie pytana, a i pytana nie zawsze, dzięki czemu była niedoceniana przez nauczycielki.

Najmłodsza Helena Klodylda to przeciwieństwo siostry. Wszędzie jej było pełno, wciąż coś psociła, na lekcjach odpowiadała zwykle lepiej, mimo że umiała gorzej. Zosia nie lubiła lalek, ani zwierzątek, które Helenka wręcz uwielbiała.

Młodsze dzieci nie pamiętały już ojca zdrowego, tylko poruszającego się na wózku. Ciężka choroba hr Józefa zaczęła się od nieszczęśliwego wypadku. Raz jadąc konno w marcu, chciał skrócić drogę i przepłynął wpław przez rzekę. Wrócił do domu mokry i zziębnięty. Długo potem chorował i nigdy już nie wyleczył się z ciężkiej choroby serca. Poza tym do płuc wdała się puchlina wodna, tak że trzeba było co kilka miesięcy tę wodę wypompowywać. Do tych zabiegów przyjeżdżali najsławniejsi lekarze z uniwersytetu w Królewcu. Raz sławny profesor, mimo całej swoje wiedzy, przebił płuco i wywołał zapalenie płuc. Tak więc Józef Tyszkiewicz na wiele lat był przykuty do wózka, co niezmiernie przeżywał. Jak tylko poczuł się lepiej, najczęściej po wypompowaniu wody, zaraz miał jakieś nowe pomysły przebudowywania czegoś, czy rozbudowywania. Żona wtedy tak się cieszyła z tego stanu, że bez względu na to ile pieniędzy miało dane przedsięwzięcie pochłonąć, wspierała i zachęcała.

Duszności nie pozwalały choremu spać leżąc, więc miał w łóżku specjalnie wycięte miejsce, wyłożone materacami. Żona najczęściej w szlafroku spała obok niego, żeby być w pogotowiu, gdy będzie trzeba np. podać morfinę. Hr Józef tak się przyzwyczaił do je obecności, że gdy tylko gdzieś wychodziła, zaraz wołał: *Zosiu, Zosiu.* Wstydził się swojej choroby, nawet przed dziećmi. Nie miał kiedyś rodziny i kontaktu z rodzicami, nie potrafił więc nawiązać kontaktu z własnymi dziećmi. Stwarzał dystans, który paraliżował strachem.

Matka, wiecznie zajęta prowadzeniem domu, interesami i ciągłą opieką nad chorym ojcem, też nie potrafiła otoczyć atmosferą miłości i ciepła, którego w dzieciństwie tyle potrzeba. Dzieci odwiedziny matki, w swoim, mniejszym domu, łączyły zwykle z jakimś wydarzeniem, np. gdy w pokoju spadł sufit, zasypało biurka i część podłogi, gdy któreś z dzieci było ciężko chore, lub wiosną w porze egzaminów, dla skontrolowania postępów w nauce. Wychowaniem licznej, młodej latorośli zajmowały się głównie bony i nauczycielki, precyzyjnie dobierane przez rodziców. A kryteria w dobieraniu były różne. Dla hr Zofii najważniejszy był intelekt, umiejętności, ukończone szkoły i komunikatywność. Dla hr Józefa bezwzględnie wymaganym warunkiem w przypadku nauczycielki była uroda. W tym celu kazał wraz z ofertą przysyłać fotografię. Przeglądał potem nadesłane zdjęcia i brzydkie kandydatki natychmiast odrzucał. Raz osoba starająca się o posadę przysłała bardzo piękny swój

wizerunek, a w liście zaznaczyła, że w rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza. Na tę więc hr Zofia kategorycznie się nie zgodziła.



Pałac w Kretyndze, fot. Paulina Mongird, 1890 r., © Kretinga Museum

Hr Józef poza tym stawiał jeszcze jeden warunek, który dotyczył wszystkich pracowników, również na stałe przebywających, lekarzy, inżynierów i rzemieślników. Każdy kandydat na pracownika musiał grać na jakimś instrumencie, lub śpiewać. Pan na Kretyndze kochał muzykę, a od kiedy siedział w domu przykuty do wózka, była ona jego jedyną rozrywką. Orkiestrę musiał mieć przez cały rok. Sprowadził w tym celu z Czech grupę rodzin rzemieślniczych, których członkowie należeli do różnych zespołów muzycznych. Przez jakiś czas pomysł zdał egzamin, bo

ludzie ci pracowali w majątku i tworzyli dość zgraną grupę muzyczną. Z czasem jednak orkiestra się rozproszyła, Czesi powrócili do swojego kraju, została tylko jedna rodzina Suchanków, która wrosła już w nowe warunki. W związku z tym hr Józef zapragnął tworzyć orkiestrę z domowników, no i koniecznie musiała być zatrudniona nauczycielka muzyki, która dawałaby regularne koncerty.

Najodpowiedniejszą kandydatką wydała się 20-letnia Fräulein Retty. Selma Retty, córka Włocha i Niemki, wysoka blondynka o niebieskich oczach w ciemnej oprawie, przyjechała zaraz po ukończeniu Konserwatorium w Berlinie. Koncertowała już jako pięcioletnie „cudowne dziecko". Wszyscy twierdzili, że rzeczywiście była niezwykle utalentowana, nigdy się nie przygotowywała, każdy utwór, Chopina, Bethovena czy Mozarta, potrafiła zagrać ze słuchu, wprawiając słuchaczy w niemały zachwyt. Po przyjeździe do Kretyngi układała więc programy, rozdawała role w duetach czy tercetach, tworzyła amatorski chór. Doktor grał na wiolonczeli, nauczycielka Angielka śpiewała pięknym mezzosopranem, a Fräulein z braku głosu *ślicznie gwizdała*. Nuty sprowadzane były z Berlina, na galerii zimowego ogrodu ustawiano fortepian, a wokół zasiadali domownicy. Do tego na dole, wśród grot i egzotycznych palm, zbierała się publiczność z miasteczka. Selma Retty w długiej wydekoltowanej sukni schodziła w przerwie na dół i kłaniając się pięknie zbierała oklaski od licznych wielbicieli jej talentu.

Hr Józef był tak zachwycony nowym muzycznym nabytkiem, że wszyscy przymykali oczy na licznie jej wady i dziwadztwa. Przede wszystkim nie spełniała roli, do jakiej była przeznaczona, nauczycielki muzyki i niemieckiego. Uwielbiała wszelkie wyjazdy, co było w zasadzie jej głównym zajęciem. Wszędzie miała znajomych i przyjaciół, wszędzie gnały ją jakieś interesy. Jak zaprzęgane były konie przed stajnią, obojętnie kto i dokąd jechał Fräulein była już naszykowana do podróży. Czy to do Połągi, czy do Kłajpedy (Memla), czy też do jakiegoś folwarku, wszędzie była pierwsza. W związku z tym nie miała kiedy udzielać lekcji. Niemiecki był wyznaczony na godziny popołudniowe, muzyka na ranne. Po południu więc Fräulein gdzieś podróżowała, a rano była strasznie zmęczona po nocnych wizytach u znajomych. Zwykle ziewając wstawała z łóżka, dawała jakąś gamę do zagrania, po czym zaczynała przyjemnie gawędzić, częstując dzieci cukierkami, których miała mnóstwo od wielbicieli.



Rodzina Tyszkiewiczów, 1880-1882 r., fotograf nieznany. © Kretinga Museum

Była przy tym bardzo nieporządna. Jako główny lokator jej pokoju naczelne miejsce zajmował kot, znaleziony przypadkiem w parkowej alei, który uwielbiał spać na rzucanych na podłogę wieczorowych sukniach. Zapytana kiedyś, dlaczego się nie myje, przecież wstyd mieć tak brudne nogi odrzekła, że sama nie umie się myć. Nigdy tego nie robiła, myła ją mama, po przebudzeniu, gdy jeszcze rano leżała w łóżku, zanim poszła do Konserwatorium. Mamy nie ma, więc mycia też nie ma. Chcąc nie chcąc sprowadzono więc mamę z Berlina, poczciwą starszą kobietę.

Jeszcze jeden był powód przywiezienia pani Retty. Młoda Fräulein przybiegła kiedyś ze łzami w oczach do hr Józefa, błagając go, żeby ją chronił, bo idzie do niej dawny narzeczony po to, by ją zabić. Zrobiła przy tym tyle paniki, że wyobrażano już sobie jakiegoś draba z twarzą przestępcy. Tymczasem w parkowej alei zobaczono miłego, skromnego młodziana *z rozwianym włosem i krawatem w motyl związanym, fruwającym około kołnierzyka*, którego nie stać było na wynajęcie powozu, więc od Kłajpedy 20 km szedł pieszo. Hr Józef spokojnie z młodym człowiekiem porozmawiał, zapytał się, co robi i jakie ma zamiary. Gdy dowiedział się, że jest to niegroźny i utalentowany rzeźbiarz, umieścił go na stancji u doktorostwa Attenmajerów, a dla zwiększenia bezpieczeństwa, zadecydował o zaproszeniu matki egzaltowanej Fräulein.

Panna Retty nigdy sobie nic praktycznego nie kupowała, z wycieczek przywoziła jedynie mnóstwo drogich fotografii, sztychów i reprodukcji. Materiały na suknie przypominały raczej pluszowe obicia meblowe, a nie tkaninę nadającą się do noszenia. Wiecznie gdzieś fruwała w obłokach, myśli zajmując sprawami wyższej wagi niż przyziemne drobnostki. Jakież więc było zdziwienie całej rodziny i innych domowników, gdy Fräulein Retty oznajmiła pewnego dnia, że wychodzi za mąż i to za kogo, za brzydkiego, grubego z pokiereszowanymi policzkami lekarza domowego dr Orthmana. Doktor miał wprawdzie ładny głos, grał na wiolonczeli i był dobrym lekarzem, ale poza tym był dużo

starszy i ogólnie nieciekawy, tak że młoda artystka zwykle z niego kpiła. Skąd więc ta nagła zmiana? Otóż dr Orthman odziedziczył po stryju malowniczo położone sanatorium w D**ü**sseldorfie. Odezwał się więc we Fräulein zmysł praktyczny, którego nikt się nie spodziewał. Postawiła jednak warunki za swoje sakramentalne: tak. Będzie miała swój powóz i konie, będzie jej wolno jeździć, gdzie zechce i kiedy zechce, cukierków i słodyczy dostanie w dowolnej ilości, no a pocałować da się tylko raz dziennie, nie częściej.

Tak więc mimo tych wszystkich dziwactw i nie spełnieniu roli, dla jakiej młoda nauczycielka była sprowadzona, wszyscy płakali, gdy odjeżdżała. Ubywała dusza artystyczna, organizatorka tych wszystkich wspaniałych koncertów i na dodatek zabierała wiolonczelistę. O nowego lekarza nie było trudno, ale żeby jeszcze do tego dobrze grał, to już większy kłopot. Po Fräulein Retty nastała Niemka Fräulein Kale, ale ta tylko uczyła języka i gam, czasy wieczorów przy fortepianie minęły więc bezpowrotnie. Wszyscy na nią narzekali, a ona zupełnie nie wiedziała, o co chodzi, bo przecież swój zawód wykonuje sumiennie.

GALERIA



Pałac Tyszkiewiczówn w Kretyndze (Litwa), widok od strony ogrodu, fot. Wrzesław Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski



Dwa domy, wyższy i niższy, Józef Tyszkiewcz połączył oranżerią, fot. Wrzesław Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski

Zdjęcia pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze autorstwa Wrzesława Żurawskiego zostały wykonane we wrześniu 2018 roku.

Zobacz też:

> Tyszkiewiczowie. Landwarów.

Kretynga, część 2

Tyszkiewiczowie. Kretynga 2.

Podróż przez życie

Rozmowa z reżyserem Jerzym Antczakiem o najnowszej książce „Jak ja ich kochałem”.



Dwór został soecjalnie zbudowany dla filmu „Noce i dnie”, fot. arch. Jerzego Antczaka

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Jestem po lekturze Pana najnowszej książki. Muszę przyznać, że przeczytałam ją „jednym tchem". To piękna opowieść o życiu i bliskich Pana sercu osobach, na tle skomplikowanej historii Polski. Powołuje się Pan też na poprzednią książkę wspomnieniową „Noce i dnie mojego życia". Kiedy i w jakich okolicznościach narodził się pomysł, aby ta książka powstała?

Jerzy Antczak:

Książka powstała z potrzeb spłacenia olbrzymich długów i utrwalenia ludzi, nie tylko z pierwszego planu, ale często z drugiego, albo trzeciego szeregu. Chciałbym, żeby mój czytelnik zobaczył twarze tych, którzy wspierali mnie kiedy brodziłem po rubieżach świata w poszukiwaniu sensu istnienia i źródeł sztuki. W książce próbowałem ocalić od zapomnienia imiona tych wszystkich, którzy przytrzymywali mi tę drabinę, po której się wspinałem.

W książce podaje Pan tyle szczegółów sprzed lat, cytuje listy, opisuje z detalami różne sytuacje z dzieciństwa we Włodzimierzu Wołyńskim. Czytelnik ma wrażenie iż Panu przez całe życie towarzyszy. Skąd u Pana tak doskonała

pamięć chwil?

Trudno mi powiedzieć, ale chyba pamięć jest czymś wrodzonym, czego nie można się nauczyć. Pamięć można wyćwiczyć, ale tylko do pewnego stopnia.
Sięgając pamięcią wstecz, pierwsze doznania mogę zarejestrować od szóstego roku życia, a więc gdzieś od 1935 roku. Od tej daty po dzień dzisiejszy życie moje obfituje w wydarzenia, których logika oszałamia. Wszystko jest zagęszczone, ale najbardziej zdumiewa konsekwencja z jaką te wydarzenia łączą się, tworząc w pełni ukształtowany monolit czyli – moją gotowość do otwierania i zamykania różnych etapów!

W czasie odpływu inwencji, sięgam na chybił trafił po jakąś książkę. Otwieram na stronicy którą dotknie wskazujący palec i czytam, wierząc, że odnajdę coś, co mnie odbuduje. Podobnie stało się w czasie pisania „Jak ja ich kochałem". Wyciągnąłem z półki książkę Anny Piwkowskiej zatytułowaną, *Achmatowa, czyli kobieta.* Jest to biografia wybitnej rosyjskiej poetki, której życie przypadło na dwie epoki: czas carskiej Rosji, kiedy w wieku 18 lat zaświeciła na niebie poezji jak meteor, aby nie zgasnąć do końca życia. A oto cytat z dziennika Achmatowej:

Dwadzieścia procent w każdych wspomnieniach sfałszowanych jest przez wyobraźnię, bowiem każda pamięć pamięta co innego.

I pamięta inaczej. Pamięć ludzka ma to do siebie, że niczym reflektor wyświetla pojedyńcze momenty pozostawiając wokół nieprzenikniony mrok…

Achmatowa ma rację. Nawet przy najdoskonalszej pamięci nie sposób wywołać pełnej prawdy wydarzeń z dalekiej, czy nawet najbliższej przeszłości. Ale ja jednak, spróbowałem dokonać rzeczy karkołomnej, wbrew temu co dowodzi Achmatowa: opisałem wydarzenia, które stanowiły najważniejsze ogniwa w mojej karierze, postarałem się ożywić ich klimat i znaki czasu. Wreszcie, ustaliłem jakie przeżycia odłożyły się w mojej emocjonalnej pamięci, stając się karmą dla przyszłych artystycznych dokonań.

Historia, nawet ta najbardziej dramatyczna, przeżyta i zapamiętana przez ludzi, ma w sobie ładunek emocji, czego nie mają podręczniki i źródła naukowe. Opowiedziana przez Pana historia, trafia głęboko do serca. Dwór rodziny Burtanów w Białozowszczyźnie, gdzie mieszkał Pan na początku wojny, jego klimat, zapach pól, codzienne rytuały, a potem wymordowanie właścicieli, rezydentów i służby przez ukraińskich nacjonalistów, czy też historia Pana ojca, chorążego we Włodzimierzu Wołyńskim, potem działacza w podziemiu AK, a po wojnie fałszywe oskarżenie, uwięzienie i oczekiwanie na proces z groźbą kary śmierci – budzą sprzeciw czytelnika. Na ile te i inne

dramatyczne wydarzenia Pana ukształtowały?

Dramatycznych wydarzeń w moim długim życiu nie brakowało, ale największy wpływ, a właściwie piętno na mojej osobowości wywarły wydarzenia związane z moim ojcem. Spójrzmy na to w wielkim skrócie.

W 1914 roku ojciec w wieku 18 lat zgłasza się na ochotnika do wojska. Odbywa kampanie wojenne 1918, 1920, 1939, a potem od 1940 do 1945 jako wysoki dowódca AK dowodzi dużą jednostką zwaną „pod obwodem". W 1946 roku, w ramach rozrachunku z akowskim podziemiem, ojciec zostaje aresztowany, oskarżony o wydanie rozkazu zabójstwa trzech sowieckich skoczków spadochronowych, za co groziła kara śmierci. W książce „Jak ja ich kochałem", wiele miejsca poświęcam przeznaczeniu. A oto namacalny dowód działania tej siły, związanej z losami ojca.

We Włodzimierzu Sara Pinkwas prowadziła mały sklepik, gdzie było wszystko – „mydło, szydło i powidło". Moja matka bardzo lubiła ten przybytek i jego niezwykłą atmosferę. Syn Sary – Icek, po agresji bolszewików na Polskę we wrześniu 1939 roku został komendantem lokalnej milicji.

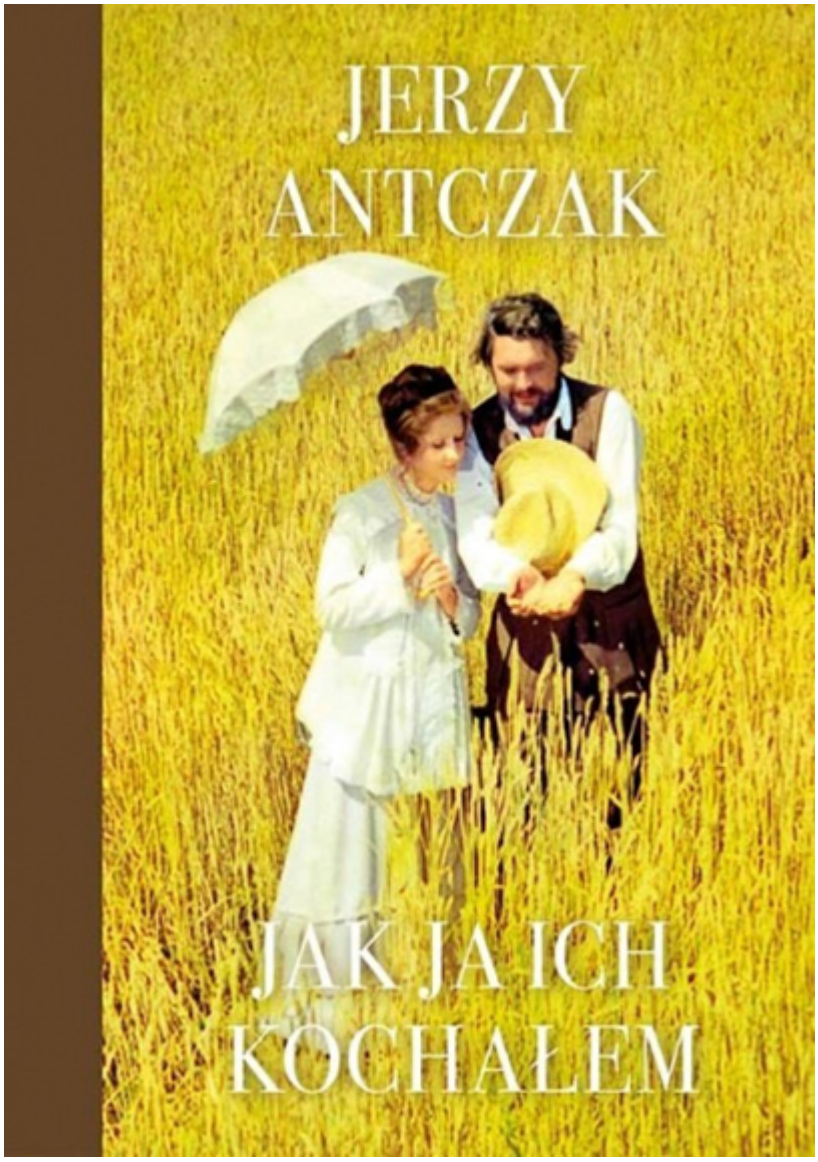
Sara pamiętała serdeczność mojej mamy i wymogła na nim opiekę nad naszą rodziną. Dzięki temu nie zostaliśmy wywiezieni na Syberię. A jako bliscy zawodowego wojskowego znajdowaliśmy się na samym szczycie listy przeznaczonych do zsyłki.

Icek Pinkwas objawił się ponownie i nieoczekiwanie po wojnie w Polsce i pod nazwiskiem Mikołaj Pluta, jako wysoki rangą funkcjonariusz NKWD – został głównym doradcą Wydziału I (kontrwywiadu), którego celem było ściganie i karanie polskiego podziemia. Zupełnie przypadkiem dostaje do rąk sprawę ojca. Zapoznawszy się z aktami sprawy doznał zaskoczenia. Odkrył, że obwinionym to dobrze mu znany Władysław Antczak, były chorąży 23 Pułku Piechoty stacjonującego we Włodzimierzu Wołyńskim. W enkawudziście odżyły czułe wspomnienia. Przypomniał sobie moją mamę, jej sympatię do tajemniczego świata Żydów, wreszcie szacunek, jakim nasza rodzina, w tym ojciec, okazywali jego rodzicom. Znalazł w akcie oskarżenia szyte grubymi nićmi fałszerstwa. Sporządził raport dla samego ministra spraw wewnętrznych Stanisława Radkiewicza. Z adnotacją, że na skutek nieprawdziwych faktów przedstawionych przez oskarżyciela zaleca umorzenie śledztwa i wypuszczenie podejrzanego na wolność. Tak w wielkim skrócie wyglądała decyzja przeznaczenia, która za pośrednictwem Icka Pinkwasa vel Mikołaja Pluty uratowała tacie życie. A Sarę Pinkwas sportretowałem w „Nocach i dniach”, jako Arkuszową.

A oto kres wędrówki ojca. Rok 1961. Siedząc przy łóżku, widząc smugę cienia na jego twarzy, zapytałem go: – Tato czy ty masz żal do tego wszystkiego co cię spotkało? Do zdrady twoich podwładnych? Do tych lat, które ci odebrali w więzieniu? Ojciec zamyślił się, a potem uśmiechnął. – Nie, Jurku… nie mam żalu… W ogóle nie mam żalu do nikogo i do niczego. Bo w końcu człowiek jest panem swojej woli i musi ponosić konsekwencje swoich czynów. – No, ale przecież musisz mieć jakąś ocenę tego wszystkiego. – Tak. Mam. Po prostu w chwili kiedy pękło to, o co walczyłem, znalazłem się po złej stronie boiska.

I tej pokory ojca nie mogłem darować – nie tylko reżimowi, który go sponiewierał, ale przede wszystkim tym towarzyszom broni ojca, którzy się zeszmacili!

To była ta straszna lekcja życia, która mnie gryzie po dziś dzień.



Okładka książki

Ukończył pan wydział aktorski w Wyższej Szkole Aktorskiej w Łodzi, występował Pan w teatrze, dzięki Panu powstał słynny łódzki teatr 7.15. Co zatem zafascynowało Pana w reżyserii, że stał się Pan jednym z czołowych twórców Teatru Telewizji.

W roku 1953, zaraz po dyplomie, zostałem asystentem w Szkole Aktorskiej. Odkryłem wtedy w sobie zdolności pedagogiczne, możliwość wykorzystania swojej niezwykłej łatwości

porozumiewania się z młodzieżą, otwierania młodych aktorów, wydobywania z nich odpowiednich tonacji i kolorów, rozbudzania pasji. Ale ciągle nie była to jeszcze reżyseria, tylko zwykłe wprawki.

W latach pięćdziesiątych działały w Polsce trzy studenckie teatry: warszawski STS, gdański Bim-Bom i traktowany trochę z pobłażaniem „Pstrąg", nagrodzony w Łodzi. Jakież więc było zaskoczenie, kiedy na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Studenckich w Krakowie, za program *Nie mamy czasu*, „Pstrąg" w mojej reżyserii zdobył nagrodę „Kaduceusz Polski". Jednym z jurorów festiwalu był Igor Sikirycki, wybitny satyryk i poeta, Kierownik Artystyczny Teatru Satyryków w Łodzi. Niespodziewanie zaproponował mi wyreżyserowanie w tymże teatrze składanki pod tytułem *Z innej beczki*.

Po sukcesie *Z innej beczki* (zagraliśmy ponad sto pięćdziesiąt przedstawień przy pełnej widowni) Igor Sikirycki oraz dyrektor generalny Michał Tomski, zaproponowali mi objęcie funkcji kierownika artystycznego. Miałem wtedy dwadzieścia osiem lat. Marzyła mi się nazwa „Teatr Mały" albo „Teatr Kameralny". Warszawa nie zgodziła się. Teatr ma kontynuować linię programu lekkiego, grając tylko od czasu do czasu „sztuki poważne".

Wymyśliłem więc: „Teatr 7:15." – nazwę neutralną, która

połknie wszystko. Warszawa ją zaakceptowała. Na otwarcie sezonu wybrałem *Pułapkę na myszy* Agaty Christie. Sztukę postanowiłem wyreżyserować sam. Był to początek mojej reżyserskiej drogi. Niestety, w rok po objęciu dyrektury Teatru 7,15, mimo ogromnych sukcesów, w bardzo przykrych okolicznościach zostałem odwołany ze stanowiska.

I od teraz przeznaczenie bierze lejce mojego życia w garść i nakazuje mi poświęcić się reżyserii. Jestem dwa lata w teatrze Kazimierza Dejmka, gdzie reżyseruję dwie sztuki. Po czym od 1958 do 1963 pełnię obowiązki naczelnego reżysera Telewizji Łódź, gdzie serią wybitnych realizacji telewizyjnych Teatru Popularnego, którego jestem założycielem, zdobywam uznanie krytyki oraz serca widzów całego kraju. W moich działaniach reżyserskich, doświadczenie aktorskie odgrywało główną rolę, nadając przedstawieniom emocjonalny koloryt.

Na fali tych sukcesów, zostaję powołany na stanowisko Naczelnego reżysera Telewizji Polskiej. I tak oto wyglądała moja droga do reżyserii telewizyjnej, która była uwerturą do realizacji filmów fabularnych.



Jadwiga Barańska i Mariusz Dmochowski w filmie „Hrabina Cosel”, 1968 r.

W 1967 r. podjął się Pan nowego wyzwania – ekranizacji powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego *Hrabina Cosel*, z Jadwigą Barańską i Mariuszem Dmochowskim w rolach głównych. Film był kręcony m.in. w zamku w Łańcucie. Syn ówczesnego wicedyrektora zamku, Wrzesław Żurawski, tak wspomina tamten czas:

„Hrabina Cosel”, to było duże przedsięwzięcie. Oczywiście moi rodzice byli z reżyserem w stałym kontakcie, drżąc o zamek.

Mnie tylko czasem udawało się wcisnąć na plan w sieni zamkowej, gdzie była grana scena uczty. Na filmie niestety nie zauważa się, że były specjalnie pieczone piękne, prawdziwe prosiaki, indyki i inne mięsiwo. Ta uczta trwała kilka dni. Socjalizm czasu nie liczył. Mariusz Dmochowski w końcu po kilku dniach miał pięknie rozerwać indyka rękami, rzucić jedną nogę któremuś z ministrów, a sam z błyskiem oka wbić zęby w drugą nogę. Niestety zaraz zaczął pluć i wołać…okropne, bo indyk czekał na tę scenę około tygodnia".

A jak Pan wspomina ten czas?

Aby temu wspomnieniu nadać niemal metafizyczny ciężar muszę przywołać rolę przeznaczenia. Gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności, a właściwie decyzja LOSU, nigdy bym tego filmu nie reżyserował. W styczniu 1967 roku, Zdzisio Skowroński dał mi do przeczytania swój scenariusz według powieści Ignacego Kraszewskiego *Hrabina Cosel.* Powiedział z tajemniczym uśmiechem: – Przeczytaj. Jest tu szansa dla Jadwigi na debiut fabularny w tytułowej roli.

Przeczytałem. Scenariusz porwał mnie, ale wyzwolił niepokoje, czy powinienem ten film reżyserować, bo podejrzenie, że „Antczak obsadzi Barańską w Hrabinie" przejdzie przez brutalne sito komisji scenariuszowej. Najpierw sprawiono baty Kraszewskiemu! Że to melodramat. Staroć. Trochę pochwalono

scenariusz i dialogi. Od biedy może to być film kategorii B. Podkreślano kilka razy, ze szczególnym naciskiem, że rola Hrabiny Cosel jest bardzo złożona i wymaga doświadczonej filmowo aktorki. Nie mówiąc już o tym, że – jak sugeruje Kraszewski – musi być piękną kobietą. W końcu padło pytanie: „Kto to będzie reżyserował?" Zdzisio strzelił bez wahania. „Obecny tu reżyser Antczak".

Rozpoczęto od pogłaskania mnie po ramieniu, że jestem dobry w telewizji i moje filmy telewizyjne da się oglądać, ale zaraz dodano, że chyba jeszcze nie dojrzałem do debiutu w pełnym metrażu. Dyskusja była długa i bardzo głośna. Niespodziewanie Aleksander Ford, który do tej pory nie brał udziału w dyskusji, powiedział ściszonym głosem: – Prace pana Antczaka dla Telewizji dają mu licencję do robienia *Hrabiny Cosel*. – I tak oto jedno zdanie Boga kina polskiego, z którym nigdy w życiu nie zamieniłem słowa, przeważyło szalę.

Ale dziwne są zrządzenia losu. W 1995 roku moim asystentem na UCLA w Los Angeles był Robert Moreland. Któregoś dnia zapytał mnie: – Czy znany ci jest polski reżyser filmowy, Aleksander Ford? – Oczywiście! Dlaczego pytasz..? – Powiesił się w motelu mojej ciotki. Zostawił na stole sto dolarów z kartką, na której napisał, żeby po nim posprzątać.

Niech Pan odpoczywa w pokoju, Panie Aleksandrze.



Jerzy Bińczycki jako Bogumił Niechcic i Jadwiga Barańska jako Barbara Niechcic w filmie „Noce i dnie”, fot. arch. Jerzego Antczaka



Kadr z filmu „Noce i dnie”, fot. arch. Jerzego Antczaka

Największą sławę przyniosła Panu ekranizacja powieści Marii Dąbrowskiej „Noce i dnie”. Po latach, z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości, znów obejrzałam film podczas Festiwalu Polskich Filmów w Austin – i muszę przyznać, film się nie zestarzał, nadal wzrusza, wywołuje łzy, zmusza do refleksji. Traciliśmy życie i majątki w Powstaniach, ciężko pracowaliśmy na dzierżawionej ziemi, potem przyszła wojna i zabrała resztę. A jednocześnie, mimo zaborów i wojennej zawieruchy ludzie żyli, kochali się, marzyli i przeżywali swoje życie najlepiej jak potrafili. W tym filmie jest polska dusza i

polski los. Przez karty Pana najnowszej książki od początku do końca, jak powtarzający się refren, przewijają się „Noce i dnie". Czy ten nominowany do Oskara film, wciąż jest dla Pana najważniejszy?

Tak. To jest moje Opus Magnum, do które właściwie dochodziłem całe życie. W książce „Jak ja ich kochałem", wiele miejsca poświęcam wydarzeniom, które wspierały moją wyobraźnię, najpierw przy pisaniu scenariusza, potem w reżyserii.

Tomek Miernowski, jeden z trzech producentów filmu napisał esej p.t. „1800 Nocy i Dni – opis obyczajów". Pisze Tomek we „Wstępie":

Realizacja filmu „Noce i dnie" trwała 5 lat. Tyle co II wojna światowa. 1800 dni i nocy. Według norm produkcyjnych metraż tego giganta odpowiada 14 pełnometrażowym filmom fabularnym. Rozwinięta kopia filmu zajęłaby drogę równą odległości z Warszawy do Mińska Mazowieckiego. Setki aktorów, w tym największe gwiazdy polskich scen, tysiące statystów, góry rekwizytów i stylowych kostiumów, dziesiątki zbudowanych od podstaw dekoracji, adaptacje rozległych plenerów wiejskich i miejskich, konie, powozy, batalistyka, pirotechnika, kawaleria i piechota ruska i niemiecka. To wszystko w gotowości do działań przez dwa i pół roku zdjęć. Prowadzenie takiego interesu to

zadanie natury wojskowej.

Gdybym nie urodził się w koszarach i nie widział z bliska reżimu dyktatury wojskowej, która za cenę krwawych ofiar pozwala wygrywać bitwy, a potem w czasie okupacji, kiedy ojciec jako Inspektor Armii Krajowej przygotowywał się do odbioru zrzutów samolotowych oraz do akcji bojowych, nie potrafiłbym ujarzmić tej potwornej machiny, którą Tomek określa jako zadanie natury wojskowej.

Od 1979 roku mieszkają Państwo w Kalifornii. Czym jest emigracja dla kogoś takiego jak Pan, kto tak bardzo kocha Polskę, co widać na kartach Pana książki.

Ja nie przyjmuję do wiadomości, że jestem emigrantem. Zmieniłem tylko miejsce zamieszkania, adres, ale moje serce i moje wszystkie uczucia pozostały w kraju, z którego duchowo nigdy nie wyjechałem. Z miłością do kraju jest tak, jak to pięknie metaforycznie określił Gałczyński w jednym ze swoich wierszy.

Jak pięknie i ciepło pisze Pan zarówno o rodzinie, jak i o swojej żonie Jadwidze Barańskiej, a także o jej mamie, pani Mini. Życie nie szczędziło jej trudnych przeżyć, ale mimo to, potrafiła zachować miłość do świata zarówno ludzi, jak i zwierząt.

Kochaj każdy liść, każdy promyk boskiego światła. Kochaj zwierzęta, kochaj rośliny, kochaj wszystko, co cię otacza. Jeżeli zdobędziesz w sobie kochanie tego wszystkiego, otrzymasz Boską moc pojmowania wszechrzeczy! – tak mówi Dostojewski w *Zbrodni i karze*. Miałem wielkie szczęście spotkać w życiu osobę utkaną z takiej właśnie materii. Towarzyszyła mi nieprzerwanie pół wieku. Pomagała w zmaganiu się z życiem i sztuką. Tą niezwykłą kobietą była matka Jadzi. Na imię miała Maria, ale nazywaliśmy ją zdrobniale Minią. Jej dar pojmowania i kochania świata był niepojęty!

Opiekując się domem, a potem naszym synem Mikołajem, znajdowała czas i siły, aby przytrzymywać chybotliwą drabinę naszych karier artystycznych i pomagać nam wspinać się po jej szczeblach w górę. Ciągle przygarniała jakieś ptactwo – kruki, wrony, gołębie, nie mówiąc o tuzinach kotów i psów. W naszym mieszkaniu o powierzchni pięćdziesięciu sześciu metrów kwadratowych rezydowali: Minia, Jadzia, ja, Mikołaj, siedem kotów i pies Żola. Ta „chewra” (banda, zgraja, przyp. red.), o różnych temperamentach i nawykach, poskramiana żelazną ręką ich żywicielki, poddawała się rygorom i stanowiła zgraną pakę. Sypiała na niej, otulając ją swoimi futerkami jak kołdrą.

Ojcowie Święci, patrzycie na mnie podejrzliwie i chyba słusznie. Bo gdyby doszło do przewodu, wymagającego bezspornych świadectw „boskiej mocy pojmowania wszechrzeczy”, musiałbym

opisać jej gniew, kiedy w stosunku do zwierzęcia używano słowa „zdycha”, zamiast „umiera”, zarezerwowanego wyłącznie dla ludzi. Pieniła się: – Tylko w dwóch językach używa się określenia, że zwierzę „zdycha”. W polskim i rosyjskim. W innych mówi się, że zwierzę umiera.

Kościół katolicki utrzymuje, że tylko istota myśląca, posługująca się ludzką mową ma duszę. I zasługuje na słowo „umiera”. Nie mam wątpliwości, że teraz będąc bliżej Boga, Minia wie już na pewno, jak to jest ze zwierzęcą duszą.



Chorąży Władysław Antczak (w mundurze) z żoną, jej bratem i synami – starszym Tadeuszem i młodszym Jerzym, Boże Narodzenie, Wlodzimierz Wołyński 1931 r., fot. arch. Jerzego Antczaka

Z kart Pana książki przebija, że mimo obowiązków zawodowych, które czasami brały górę, rodzina była dla Pana bardzo ważna. Proszę opowiedzieć o Pana Świętach Bożego Narodzenia w dzieciństwie, a potem Państwa Świętach w dorosłym życiu i na emigracji.

Święto Bożego Narodzenia, może trochę dlatego że urodziłem się 25 grudnia miało charakter niezwykle uroczysty. Pielęgnowany od lat, najpierw we Włodzimierzu, gdzie wszystko zaczynało się od wniesienia do salonu świerkowego chojaka, oprawienie go na stojaku, okraszenia jego gałęzi bombkami, łańcuchami, anielskim włosem, świeczkami, wreszcie umieszczenie na jego szycie szklanej iglicy.

Święta Bożego Narodzenia w czasie okupacji nie odbiegały od tradycji. Wszystko działo się tak samo. I kiedy zapalały się świeczki i zaczynały śpiewy kolęd, znikała czerń okupacyjnej nocy i wyzwalała tajemnicę narodzin Jezusa Chrystusa.

Jadzi Mama, Minia, urodzona na Wileńszczyźnie, oprócz celebry z choinką, pielęgnowała modlitewnie przygotowania do wieczerzy wigilijnej. Zawsze było z 13 potraw. Gotowała genialnie i do dzisiaj, mimo, że od jej śmierci minęło wiele lat, czuję na podniebieniu ich boski smak.

A jak wyglądają Święta na emigracji? Niemal tak samo, tyle, że świeczki łojowe zastąpiły światełka elektryczne na choince, i przed domem. I niestety, świerkowąchoinkę tworzy zestaw kolorowych świateł ułożonych
w kształcie drzewka.Tylko potrawy nie uległy zmianie. Niezmien

nie ta sam ilość, cudownie przygotowana przez Jadzię, która oprócz talentu aktorskiego ma też dar kulinarny.

W Pana książce widać, jak bardzo jest Pan pozytywnie nastwiony do świata i ludzi. Widać to też w Pana wpisach na facebooku, gdy się je czyta robi się ciepło na sercu. Sam tytuł książki „Jak ja ich kochałem" wskazuje na Pana nastawienie do życia. Jak Pan to osiągnął, że nie ma w Panu żalu, zgryźliwości, tylko niezwykłe pokłady życzliwości.

Najważniejsze w życiu jest być kochanym i mieć obok siebie bliską istotę nastrojoną na te same fale. I najważniejsze, żeby ci ludzie, których kocham byli zdrowi. Pragnę, żeby ten straszny wirus przestał pustoszyć świat, pozostawiając po sobie krwawe rany. Najważniejsze dla mnie w życiu jest trwanie. Pięknie powiedział Wojciech Kossak: *Panie Boże, nie daj mi więcej, ale nie zabieraj mi tego, co mam. I to jest moje przesłanie.*

Mam już dziewięćdziesiąt lat plus, poszedłem na emeryturę po 25 latach, a w systemie amerykańskim w szkołach artystycznych emerytura nie istnieje. Mogłem do dzisiejszego dnia wykładać na uniwersytecie, ale po 25 latach doszedłem do wniosku: wystarczy! Przecież muszę napisać tę książkę. Pisanie jej była to bolesna wędrówka po czasie przeszłym, nieustanne wspominanie ludzi, których już nie ma. Ale oni dla mnie umarli, ale nie odeszli.

Człowiek dotąd istnieje, dopóki trwa pamięć o nim.



Barbara Barańska i Jerzy Antczak, fot. arch. Jerzego Antczaka

Moja książka o Helenie Modrzejewskiej nosi tytuł *Co otrzymałam od Boga i ludzi*. To ostatnie zdanie z pamiętnika artystki. Zacytuję:

Gdy siedzę na ganku naszej willi i patrzę na purpurowe wzgórza Santa Ana, na wierzchołki Sierra Madre, albo w błękitne wody zatoki, mam uczucie spokoju i zadowolenia. Miłość do moich najbliższych wypełnia mi serce po brzegi i chociaż w myślach goszczą często obrazy ze świetnej przeszłości na scenie, to

jednak nie żal, nie gorycz mąci moją świadomość, ale wypełnia ją wdzięczność za wszystko, co otrzymałam od Boga i ludzi.

Czy książka „Jak ja ich kochałem" miała być odpowiedzią na pytanie, co Pan otrzymał od życia?

Otrzymałem niemal wszystko, co jest potrzebne, aby było ono spełnione. Nie wymieniam szczegółów tych darów, bo jestem przesądny.

Powieść *Na wschód od Edenu*, jest największym arcydziełem Johna Steinbecka. Jej głównym tematem jest walka dobra ze złem w człowieku, ukazana w biblijnej parafrazie przypowieści o Kainie i Ablu.

Hebrajskie słowo „timszel – możesz" daje prawo wyboru. Przenosi odpowiedzialność na człowieka. (…) Bo jeśli „możesz", to znaczy również, że „możesz nie".

W przemowie wygłoszonej po otrzymaniu nagrody Nobla, motyw „timszel" znalazł swoje odzwierciadlenie. Mówi Steinbeck:

Niespełna pięćdziesiąt lat po śmierci Nobla podwoje natury ludzkiej zostały otwarte i stanęliśmy przed straszliwym ciężarem wyboru. Uzurpujemy sobie wiele mocy, które niegdyś

przypisywano jedynie Bogu. Pełni lęku i nieprzygotowani przejęliśmy panowanie nad życiem i śmiercią całego świata i wszystkich żywych stworzeń. Zagrożenie, i chwała, i wybór, ostatecznie spoczywają w rękach człowieka. Test na możność osiągnięcia przez niego doskonałości jest w zasięgu jego ręki. Objąwszy niemal boską władzę musimy teraz poszukać w nas samych odpowiedzialności i mądrości, które mieliśmy nadzieję posiada być może jakieś bóstwo. Sam człowiek stał się naszym największym zagrożeniem i naszą największą nadzieją. Zatem tego dnia mogę również zacytować słowa Świętego Jana Apostoła: Na końcu było słowo i słowo było człowiekiem i, człowiekiem było słowo.

W okresie kiedy byłem zauroczony arcydziełem Steinbecka, na marginesie książki notowałem frazy, które zapadały głęboko w moje serce. A oto te które stały się busolą kierującą moim życiem:

Czuję, że człowiek to coś bardzo ważnego – może ważniejszego niż gwiazda. To nie teologia. Nie mam słabości do bogów. Ale mam w sobie miłość do tego olśniewającego tworu – duszy ludzkiej. To rzecz cudowna i jedyna we wszechświecie. Ciągle atakowana, a nigdy nie podlegająca zniszczeniu – dlatego właśnie że „możesz".

Ludzie w swym życiu, w rozumowaniu, w pożądaniach i ambicjach, w swym skąpstwie i okrucieństwie, a także w dobroci i wspaniałości – są uwikłani w matnię dobra i zła. Myślę, że to jest jedyna nasza historia, i że rozgrywa się ona na wszystkich poziomach uczuć i inteligencji. Cnota i występek były wątkiem i osnową naszej świadomości i pozostaną tkaniną ostatniej, i to na przekór wszelkim przemianom. Nie ma innej historii. Człowiekowi, który otrząśnie już z siebie pył śmierci życia, pozostaną tylko twarde, jasne pytania: czy to życie było dobre, czy złe,? Czy postępowałem dobrze, czy źle?

Koniec życia nie wydaje się tak odległy, widzisz go wyraźnie niczym linie namalowaną na mecie. Bez przerwy zadajesz sobie pytania: Czy wszystko już zrobiłem?, Czy wystarczająco kochałem? Jakie znaczenie miało dotychczas moje życie, w czasie który mi pozostał? Dochodzimy tu do zatrutego przewrotnością sedna sprawy:

Czym zapisałem się w Wielkiej Księdze Losu?

Rozmawiała: Joanna Sokołowska-Gwizdka

Zobacz też:

> Chopin. Pragnienie miłości.

> Muzyka największą miłością Chopina

Książkę „Jak ja ich kochaem”, wyd. Axis Mundi, 2020 r. można kupić w polskiej księgarni w USA – EK Polish Bookstore:

https://ekbookstore.com/product/jak-ja-ich-kochalem/

O bożonarodzeniowyc

h szopkach i kulcie Dzieciątka



Żywa szopka, fot. Michelle Scott z Pixabay

Monika Klimowska *(Warszawa)*

Świętowanie Bożego Narodzenia od średniowiecza miało w krajach katolickich swój niezwykle charakterystyczny atrybut: szopkę, po francusku *la creche*, włoskie *presepe*, hiszpańskie *belen* – od Betlejem.

Scenę Narodzenia Pańskiego wystawiano w misteriach i jasełkach, ustawiano figurki, których najwspanialszym artystycznym wyrazem stała się sławna na cały świat szopka neapolitańska. Z czasem rozrosła się ona do przedstawień niemal całego znanego świata i w bogatych domach arystokratycznych zajmowała całe pomieszczenie.

Historia ta zaczyna się w Greccio we Włoszech, kilkanaście kilometrów od miasteczka Rieti, w górach Sabińskich na północ od Rzymu. Miejsce to leży na wysokości 750 metrów n.p.m., na zboczu i to właśnie tam św. Franciszek pokazał ludziom pierwsze jasełka w Wigilię w 1223 roku. W jaskini w lesie stanął żłób, do którego przyprowadzono wołu, osiołka i owieczki. I w takim otoczeniu, nad żłobem, Franciszek odprawił Mszę św.

Wcześniej, by wszystko przygotować, wezwał miejscowego imieniem Jan i powiedział: „Chcę bowiem dokonać pamiątki Dziecięcia, które narodziło się w Betlejem. Chcę naocznie pokazać Jego braki w niemowlęcych potrzebach, jak został położony w żłobie i jak złożony był na sianie w towarzystwie wołu i osła”. Nie było w Greccio w żłobie figurki Dzieciątka, lecz uobecniła Je sprawowana Eucharystia. Ludzie, którzy się tam zbiegli, bardzo radośnie przyjęli to wydarzenie, i – jak pisze pierwszy biograf św. Franciszka, Tomasz z Celano – owej nocy towarzyszył cud – jeden z obecnych ujrzał leżące w żłobie Dziecię Jezus. Dodaje biograf także, że od żłóbka „każdy z radością

powrócił do siebie”.

Ta radość jest charakterystycznym rysem mszy „pasterskiej” i spotkania z Chrystusem w ciemnościach nocy, radość ze współobecności przy cudzie Wcielenia, którą tak pięknie oddają słowa kolęd: „A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami”, ukazując paradoksalne zderzenie majestatu, który nie waha się z miłości przyjąć postaci bezradnego dziecka i skrajnego ubóstwa.

W kaplicy wybudowanej w miejscu tej słynnej pasterki, nad ołtarzem, znajduje się fresk ze szkoły Giotta, przypisywany mistrzowi z Narni (Giovanni di Giovannello di Paulello) namalowany w latach 1375-1409. Są to dwie sceny: jedna ukazuje żłóbek w Greccio i św. Franciszka, druga – Narodzenie w Betlejem, gdzie Maryja karmi ciasno spowite Dziecię. Św. Franciszek w białej dalmatyce adoruje Jezusa na klęczkach, a nad żłóbkiem widać mensę ołtarza z kielichem. Dość podobnie przedstawił to sam Giotto di Bondone w Asyżu, w bazylice św Franciszka, wypełnionej słynnym cyklem fresków. Giotto ukazał adorację Dzieciątka w Greccio na trzynastym z 28 malowideł z lat 1295-1299.



Szopka neapolitańska, fot. http://www.josephtufo.com/



Szopka neapolitańska, fot. http://www.josephtufo.com/
Najsłynniejsze szopki powstawały w Neapolu, gdzie już w 1025 roku stanęło *praesepio* w kościele Matki Boskiej. Źródła wymieniają też „kaplicę ze sceną Narodzenia w rezydencji Di Alagni" w pobliskim Amalfi w 1324 r.

Erberto Petoia – włoski historyk, antropolog, specjalista badający religijną kulturę średniowiecza, należący do rady naukowej Ośrodka studiów nad tradycjami ludowymi im. Alfonso M. Di Nola i autor licznych publikacji nazwał fenomen neapolitańskiej szopki „mistyczną i poetycką halucynacją". Jej historii poświęcił jedną ze swoich książek.

Tę halucynacyjnie realistyczną szopkę z XVIII wieku z unoszącymi się na wysokości aniołami poprzedziły jasełka ustawiane w kościołach i kaplicach, z polichromowanymi drewnianymi figurami najważniejszych postaci. W XV wieku pojawili się pierwsi znani z nazwiska ich twórcy, bracia Pietro i Giovanni Alemanno, których figury naturalnych wymiarów w hieratycznych pozach ustawiano na malowanym tle.

Zmiany dość istotne przyniósł wiek XVI, kiedy św. Kajetan z Thieny, przejawiający szczególne nabożeństwo do Dzieciątka Jezus urządził w 1530 r. szopkę z postaciami ubranymi zgodnie z ówczesną modą w oratorium Santa Maria della Stelletta w Ospedale degli Incurabili, szpitalu dla nieuleczalnie chorych w

wielkim renesansowym kompleksie szpitalnym w centrum Neapolu. Ospedale było fundacją zamieszkałej w Neapolu Hiszpanki, błogosławionej służebnicy bożej Marii Lorenzy Longo, założycielki żeńskiego zgromadzenia kontemplacyjnego ss. klarysek kapucynek należącego do wielkiej rodziny franciszkańskiej. Św. Kajetan po przybyciu do Neapolu został spowiednikiem Longo.

Były to czasy pewnej odnowy Kościoła, która doprowadzi do synodu trydenckiego w latach 1545-1563. Po części w reakcji na wystąpienie Marcina Lutra powstawały szybko nowe zakony kleryckie, z których największa sława przypadła z czasem jezuitom i do których też przylgnęły największe oszczerstwa. Ale jeszcze przed jezuitami zakon kanoników regularnych, nazywanych też teatynami założył właśnie św. Kajetan.

W tych nowych zakonach obowiązywała intensywna praca wewnętrzna, której wzór dał św. Ignacy Loyola w swoich „Ćwiczeniach duchowych”. Stały się one ważnym źródłem także dla historii sztuki, ponieważ Loyola zalecał w nich wyobrażanie sobie ze szczegółami scen z Pisma św., zwłaszcza Ewangelii. Dziś nazwalibyśmy je może wizualizacjami.



Szopka neapolitańska, fot. http://www.josephtufo.com/



Szopka neapolitańska, fot. http://www.josephtufo.com/

Rozwój wyobraźni i zalecenia trydenckie będą silnie wspierać rozwój szopki neapolitańskiej, którą należy uznać za jedną z najwspanialszych realizacji sztuki konterreformacyjnej. Wizualizacje sprzyjały też aktualizacjom – tak pejzażu, jak i szczegółów obyczajowych. Historia święta coraz bardziej schodzi na ziemię, miesza się z krajobrazem, miejscowymi sytuacjami, wciąga do akcji konkretne żyjące osoby. I tak w 1532 r. – na zamówienie szlachcica z dworu aragońskiego – artysta

rzemieślnik Domenico Impicciati wykonał terakotowe figurki, w tym podobiznę zamawiającego je Matteo Mastrogiudice.

W kolejnych dziesięcioleciach malowane tło zacznie ustępować pejzażom z panoramą Neapolu. W 1600 roku pijarzy wystawią szopkę, której postacie, jeszcze naturalnych rozmiarów, mają jak manekiny ruchome ręce, nogi, i ubrane będą w prawdziwe uszyte dla nich stroje. Dość szybko wysokość figur zmalała do 70-75 cm. *Presepe* coraz bardziej wtapia się w realia miejscowe, a figurki zmniejszają, tak że w 1627 roku powstaje pierwszy żłóbek z wyjmowanymi postaciami.

W końcu XVII wieku zaczęto prokurować szopki z charakterystycznymi postaciami zajętymi codzienną krzątaniną. Pojawią się figurki a to szewców, a to żebraków, w tle stajenki staną zaś ruiny starożytnych rzymskich budowli, by w ten sposób zaznaczyć triumf chrześcijaństwa nad poganami. Kontrreformacja w Neapolu triumfuje, korzystając ze wszelkich dostępnych sposobów, by poruszyć widza, pobudzić jego uczucia, przekonać i utwierdzić w wierze.

Settecento (wł. siedemset, XVIII w., przyp. red.) przyniosło jednak też swoistą laicyzację szopek, które zaczęła zamawiać dla siebie arystokracja, pragnąca chwalić się dziełami najlepszych artystów i rzemieślników. Wiek XVIII stał się apogeum szopki neapolitańskiej, figurki tworzyli znakomici artyści, dzieła

których spotkać można w muzeach świata. Charakterystyczna dla baroku teatralizacja gestu i jednocześnie realizm oraz wielka precyzja detalu związana z odkryciami archeologicznymi w Pompejach i Herkulanum złożyły się na wykwint i wyrafinowanie dzieł neapolitańskiego rzemiosła osiągającego wówczas swoje szczyty. Do wyrobu delikatnych figurek używano nie tylko gliny i drewna, wykorzystywano także wosk, druciki, rozmaite tkaniny. Nieoceniony nasz Kitowicz o polskich jasełkowych figurkach pisząc, wymieniał:

> w tym osóbka Pana Jezusa z wosku albo z papieru klejonego, albo z irchy lub płótna konopiami wypchanego uformowana, w pieluszki z jakich płatków bławatnych i płóciennych zrobione uwiniona; przy żłobku z jednej strony wół i osieł z takiejż materii jak i osóbka Pana Jezusa ulane lub utworzone.

Przygotowania do *presepe* rozpoczynały się w końcu listopada Nowenną do Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, co wraz z następującym potem Adwentem tworzyło logiczny ciąg, ukazujący jeszcze przed dniem Narodzenia tę, która w doskonały sposób poddała się Pana Bogu.



Szopka neapolitańska, fot. http://www.napoliartigianatoartistico.com/



Szopka neapolitańska, fot. http://www.napoliartigianatoartistico.com/

W Neapolu *settecenta* odnajdziemy wspólną także i dla nas duchowość, przewijającą się przez kolędy i pastorałki, wspólną dla krajów objętych dziełem kontrreformacji, która wydała niezrównane w ekspresji dzieła na silnej podbudowie teologicznej. Z miastem pod Wezuwiuszem związana jest słynna włoska pastorałka ułożona w 1754 r. przez wielkiego świętego, Alfonsa Liguori właśnie w tym dialekcie, a w tłumaczeniu na polski nosząca tytuł „Zstąpiłeś z gwiazd dalekich”. Podobnie jak i nasze, w których „blask ciemnieje”, a granice ma sam Nieskończony, do dziś jest śpiewana. To o niej Giuseppe Verdi powiedział kiedyś: „Bez tej pastorałki Boże Narodzenie nie

byłoby Bożym Narodzeniem”. To kwintesencja Greccio, czułości, piękna i słodyczy neapolitańskiej.

> Zstąpiłeś z gwiazd dalekich,
> o Królu nieba,
> pod nędznej szopki strzechy,
> gdzie wiatr zawiewa.
>
> Mój Maleńki w żłóbku stajenki!
> w niedoli płaczesz, z zimna drżysz
> O Boże prawdziwy,
> Jak bardzo kochasz Ty
> tej ziemi niwy!
>
> Od Ciebie coś bezmiarów
> jest Stworzycielem,
> bierzemy hojność darów
> dobrodziejstw wiele.
>
> Mój Maleńki…

Pisząc o neapolitańskich szopkach nie można nie wspomnieć o ulicy San Gregorio Armeno, św. Grzegorza Armeńskiego wiodącej do wspaniałego barokowego kościoła jego imienia. To jedna z głównych ulic starego miasta, nazywana „drogą

pasterską”, wzdłuż której znajdują się warsztaty i sklepy z elementami szopek i figurkami. Ich wybór oszałamia, ceny również.



Szopka neapolitańska, fot. http://www.josephtufo.com/

***

Szopki żywe, ruchome, jasełka, wystawiano po kościołach i jak wyjaśniał w „Opisie obyczajów” ksiądz Jędrzej Kitowicz:

> Mamy wiadomość z Ewangelii, że Chrystus, narodzony w stajni, złożony był in praesepio. Praesepe znaczy w polskiej

> mowie żłób. Jasła zaś zowią się zagrody pod żłobem, gdzie słomę na podściel pod konie służącą kładą; mówią się też jasia, kiedy w oborach, w których bydło stawa, nie masz żłobów, tylko w takie zagrody, z deszczek zrobione, kładą dla bydła słomę i sypią sieczkę. (…) Które kiedy nastały do Polski, nie wiem, jak jednak pamięcią zasięgam, we wszystkich kościołach były używane; obchodzono je tak jak groby wielkopiątkowe, lubo mało co ludzie stateczni, tylko najwięcej matki, mamki i piastunki z dziećmi, studenci z dyrektorami i młodzież doroślejsza obojej płci, pospólstwo zaś drobne niemal wszystko.
>
> Pomienione jasełka były to ruchomości małe, ustawione w jakim kącie kościoła, a czasem zajmujące cały ołtarz niżej i wyżej po bokach, tylko jednę mensę ołtarzową nie zaprzątnioną sobą zostawując dla odprawowania mszy świętej wolną.

Wzbudzały jasełka nader wielki entuzjazm, co opisuje imć Kitowicz, wyliczając obrazowane swawole:

> na przykład: chłopów pijanych bijących się pałkami albo szynkarka tańcująca z gachem i potem od diabła razem oboje porwani, albo śmierć z diabłem najprzód tańcująca, a potem się bijące z sobą i w bitwie znikające. To znowu musztrujący

> się żołnierze, tracze drzewo trący i inne tym podobne akcje ludzkie do wyrażenia łatwiejsze…
>
> Akcja przenosiła się niestety na „spektatorów” tego teatrum: fraszki dziecinne tak się ludowi prostemu i młodzieży podobały, że kościoły napełnione bywały spektatorem, podnoszącym się na ławki i na ołtarze włażącym; a gdy ta zgraja, tłocząc się i przymykając jedna przed drugą, zbliżyła się nad metę założoną do jasełek, wypadał wtenczas spod rusztowania, na którym stały jasełka, jaki sługa kościelny z batogiem i kropiąc nim żywo bliżej nawinionych, nową czynił reprezentacją, dalszemu spektatorowi daleko śmieszniejszą od akcyj jasełkowych, kiedy uciekający w tył przed batogiem jedni przez drugich na kupy się wywracali, drudzy rzeźwo z ławek i z ołtarzów zskakując jedni na drugich padali, tłukąc sobie łby, boki, ręce i nogi albo guzy i sińce bolesne o twarde uderzenie odbierając.

Tumulty takie stały się powodem, iż w 1736 roku książę Teodor Czartoryski, biskup poznański, zakazał wystawiania animowanych szopek w kościołach. Zanim oddamy raz jeszcze głos Kitowiczowi, warto zauważyć, ż ruchome figury nie musiły prezentować figli tak pospolitych, by uznać ich akcje za niestosowne, skoro we Francji zdarzały się w jasełkach małe Jezuski fikające nóżkami.

Wedle autora „Opisu obyczajów” w szopkach celowali:

> wszystkich wielością i kształtnością kapucyni; a gdy te jasełka, rokrocznie w jednakowej postaci wystawiane, jako martwe posągi nie wzniecały w ludziach stygnącej ciekawości, przeto reformaci, bernardyni i franciszkanie dla większego powabu ludu do swoich kościołów jasełkom przydali ruchawości, między osóbki stojące mięszając chwilami ruszane, które przez szpary, w rusztowaniu na ten koniec zrobione, wytykając na widok braciszkowie zakonni lub inni posługacze klasztorni rozmaite figle nimi wyrabiali. Tam Żyd wytrząsał futrem pokazując go z obu stron, jakoby do sprzedania, które nadchodzący znienacka żołnierz Żydowi porywał. Żyd futra z ręki wypuścić nie chciał. Żołnierz Żyda bił, Żyd, porzuciwszy futro, uciekał. Żołnierz wydarte futro Żydowi przedawał nadchodzącemu mieszczaninowi, a wtem Żyd skrzywdzony pokazał się niespodzianie z żołnierzami i instygatorem, biorącym pod wartę żołnierza przedającego futro i mieszczanina kupującego.

Po zakazie ”jasełka, powszedniejąc coraz bardziej, w jednych kościołach zdrobniały, w drugich w cale zostały zaniechane”. Ludyczne intermedia wywędrowały na ulice, odgrywane przez żaków i rzemieślników, by w XIX wieku dać początek obnoszonej krakowskiej szopce o bajkowej poetyce architektoniczej,

czerpiącej wzory z charakterystycznych budowli Krakowa. Równoległym do niej rozdziałem są ruchome szopki mechaniczne z XIX wieku montowane na platformach przypominających scenerię kolejki szynowej. Przygotowywały je oczywiście zakony rodziny franciszkańskiej.



Ruchoma szopka u kapucynów, fot. http://allthesensesbymm.blogspot.com/

Przepiękna szopka z aktualizacjami i polską scenerią z Giewontem ustawiana jest u krakowskich kapucynów przy ul. Loretańskiej. Istnieje od 1866 r. i zobaczyć w niej można prymasa Stefana Wyszyńskiego, matkę Teresę, ojca Pio, św. Faustynę, a także Jana Pawla II, którzy przybywają oddać hołd

Dzieciątku. Podążają do żłóbka i górale, i naczelnik Kościuszko.

Do największych należy szopka u krakowskich oo. bernardynów, gdzie w scenkach z Biblii i codziennego życia prostych ludzi „krząta się” kilkaset figurek, z których najstarsze pamiętają czasy Kitowicza. Obie, kapucyńska i bernardyńska, wzbudzają szczególny zachwyt, w jednej z nich „dyżuruje” nawet aniołek, który, gdy mu wrzucić dowolny datek – śpiewa kolędę.

Ogromne rozmiary ma szopka u bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej, gdzie tło całości stanowi płótno długie na 12 metrów i wysokie na 8 z wymalowaną panoramą Betlejem. Bez odwołań do współczesności, życie z udziałem około 200 figurek, z których najstarsze pochodzą z XIX wieku, toczy się tam tak, jak wtedy. A to szewc naprawia buty, gospodyni gotuje strawę, a pasterz strzyże owce, podczas gdy inni – piekarz, kowal, rzeźnik, bednarz i wikliniarz oddają się swoim zajęciom, a jeszcze inni, jak to bywa z pijakami i hazardzistami, piją w szynku i grają w karty. Słychać odgłosy z warsztatów, dzwonki, ptasie świergoty, nawet szum strumyka. A Betlejem to urządzane jest w kościele stojącym nad pielgrzymkowym odwzorowaniem Jerozolimy, z jej kaplicami poświęconymi wydarzeniom z Ewangelii.

Figurka Dzieciątka pojawia się tuż przed pasterką, uroczyście wnoszona do ciemnej bazyliki przez kustosza sanktuarium. Rozlega się śpiew fragmentu z *Martyrologium Kościoła*

Rzymskiego o czasie i miejscu narodzenia Syna Bożego w ciele. I kiedy Dzieciątko zostaje włożone do żłóbka, rozbrzmiewa W*śród nocnej ciszy,* a gdy zabrzmi *Chwała na wysokości*, w sanktuarium rozbłyskują światła, na znak, że to Jezus jest światłem dla świata.



Szopka w Kalwarii Zebrzydowskiej, fot. https://www.polskieszlaki.pl/



Szopka w Kalwarii Zebrzydowskiej, fot. https://www.polskieszlaki.pl/

Dla zrozumienia głębi teologicznej i symbolicznych odniesień Bożego Narodzenia warto przypomnieć poprzedzające je przez pełne cztery tygodnie liturgiczne przygotowanie – Adwent, którego długość ustalił w końcu VI wieku papież Grzegorz Wielki. Jest to okres praktyk pokutnych, wśród których najbardziej popularne to powstrzymanie się od zabaw i wstrzemięźliwość w jedzeniu. Jeszcze do połowy XX wieku w trzecim tygodniu Adwentu obserwowano tzw. suche dni, zachowując post w środę, piątek i sobotę.

Podwójny pokutny charakter Adwentu wiąże się zarówno z

oczekiwaniem na narodziny Dzieciątka Jezus, jak i na *paruzję*, czyli ponowne przyjście Pana Jezusa w chwale, na Sąd Ostateczny. Bo Dzieciątko to przecież przyszły Pantokrator i Słowo Przedwieczne, Alfa i Omega, koniec i początek. Toteż adwentowe oczekiwanie splata w jeden czas historię, gdyż czekając na Betlejem, oczekujemy przecież Zbawiciela, który powróci u końca czasów.

I choć ostatnie dni Adwentu to już radosne przygotowania do świąt, to jednak liturgia adwentowa zachowuje charakter ascetyczny, obowiązuje w liturgicznych szatach i paramentach fiolet, a przystrajanie kościołów jest bardzo oszczędne. To nie czas na *Te Deum* czy *Glorię*. Ten podwójny charakter wnet ustąpi radości z Narodzenia Pana z Dziewicy Maryi. Podczas Adwentu ma ona ważne swoje miejsce, gdyż to jej „fiat” staje u progu tajemnicy wcielenia. I na mszy św. roratniej o świcie symbolizuje Najświętszą Maryję Pannę świeca płonąca podczas liturgii na ołtarzu. Odprawiane są roraty o świcie, za wyjątkiem niedziel i świąt, we wszystkie dni Adwentu.



Dzieciątko Jezus, druga połowa XVIII wieku, przypisywane Włochowi Giuseppe Sanmartino, fot. http://www.metmuseum.org

Na ukształtowanie się ikonografii Bożego Narodzenia największy wpływ, obok szopki z Greccio, miało widzenie św. Brygidy szwedzkiej, która żyła w latach 1303-1373. Wraz ze św. Katarzyną sieneńską i św. Benedyktą od Krzyża (Edytą Stein) jest ona (od 1999 r.) patronką Europy.

Jedna z największych świętych północnej Europy, arystokratka spokrewniona z królewskimi rodami, matka ośmiorga dzieci i

bardzo, jak na swoje czasy, kobieta wykształcona, wielka mistyczka ze Szwecji pozostawiła po sobie niemal 700 objawień zatytułowanych *Revelationes celestes*. Pozbawionych patosu, niezwykle naturalnych i rzeczowych, trzeźwych. Sama korygowała ich przekład na łacinę.

Pod wpływem objawienia z 1372 roku zaczęto przedstawiać w malarstwie św. Józefa i Maryję na klęczkach przed Dziecięciem, które ”całe nagusieńkie” leży na ziemi, a z jego ciałka bije nieziemski blask, początkowo przedstawiany w formie złotych promieni.

Brygida objawienia tego doznała w samym Betlejem, w Kościele Narodzenia, wzniesionym jako pięcionawowa bazylika przez Konstantyna i św. Helenę, a rozbudowanym przez Justyniana w wieku VI. Pod ołtarzem głównym znajduje się tam skalna grota, grota służąca za stajnię, w której Pan Jezus przyszedł na świat.

Św. Brygida w opisie ujrzanej przez siebie betlejemskiej sceny podaje, że brzemienna NMP odziana była:

> w biały płaszcz i cienką suknię, co pozwoliło (…) widzieć jej brzemienne ciało. Jej łono było pełne i bardzo nabrzmiałe, była bowiem gotowa do porodu.

Towarzyszył jej św. Józef,

> zacny sędziwy mężczyzna, a z nimi wół i osioł.

[Cytaty podaję w tłumaczeniu Justyny Iwaszkiewicz, z: „Masz być jak zwierciadło i cierń. Święta Brygida szwedzka”, Poznań 1999]

> Gdy weszli do groty, starzec uwiązał wołu i osła przy żłobie, wyszedł i powrócił do Dziewicy z zapalonym światłem, które umieścił na ścianie. Potem ponownie wyszedł, by nie być przy rozwiązaniu.
>
> Dziewica zdjęła trzewiki ze swych stóp oraz biały płaszcz, jaki ją okrywał, a z głowy ściągnęła welon, a odzienie położyła obok siebie. Zatem miała na sobie tylko suknię, a Jej cudowne, złociście lśniące włosy spływały po plecach.

Przygotowała lniane szaty dla Dzieciątka i,

> kiedy już wszystko było gotowe, Dziewica z czci upadła na kolana, aby się modlić, plecami odwrócona do żłobu wzniosła głowę ku niebu, w stronę wschodnią.

> (…)
>
> Kiedy była tak zatopiona w modlitwie, ujrzałam – pisze św. Brygida – jak Dziecię poruszyło się w jej łonie i w tym samym momencie, tak, w jednej chwili, porodziła swego Syna, a bił od niego niewypowiedziany blask, że nie można go nawet porównać do słońca. Światło świecy, którą starzec tam umieścił, nie dawało żadnego światła, gdyż ten Boski promienny blask przyćmiewał zupełnie ziemskie światło świecy. Poród ten był tak nagły i natychmiastowy, że nie mogłam zaobserwować ani rozeznać, jak i którą częścią ciała Dziewica porodziła. Widziałam raczej czcigodne Dziecię leżące nagie i jasno lśniące na ziemi. Jego ciało było zupełnie czyste i pozbawione wszelkich zabrudzeń. (…) I usłyszałam słodko dźwięczący, niezwykłej piękności śpiew aniołów. Łono Dziewicy, które przed rozwiązaniem było bardzo nabrzmiałe, teraz znów powróciło do swego kształtu, a ciało Jej jawiło się szczupłe i osobliwej piękności. Gdy poczuła, że porodziła, zaczęła adorować Chłopca bardzo nabożnie i z wielką czcią, z pochyloną głową i złożonymi rękami.

To cudowne światło znajdzie swoje rozliczne odwzorowania w malarstwie od gotyku po barok. Wcześniej go na obrazach nie było, przedstawienia długo wzorowały się na Bizancjum, gdzie

Maryja spoczywa na łożu, a obok widać owinięte ciasno Dziecię; krępujące Je owijaki mogą mieć odniesienie do pośmiertnego całunu. Bizantyjskie ujęcie sceny widzimy na przykład na panelu z oparcia biskupiego tronu Maksymiana z kości słoniowej, do ikongrafii Bizantyjskiej silnie nawiązuje przepiękne Narodzenie z Izajaszem i Ezechielem z NG w Waszyngtonie Duccio di Buoninsegna (ok. 1260 -1318), założyciela szkoly sieneńskiej. Maryja spoczywa w nim sama na łożu, na czerwonej tkaninie, Dzieciątko leży osobno. Ale Duccio przełamuje manierę bizantyjską, kształty są płynniejsze, modelunek twarzy i dłoni nabiera większej plastyczności. To obraz o cechach przejściowych, w którym malarz eksperymentuje również z przestrzenią i architektonicznym obramowaniem.

W obrazach powstałych po objawieniu św. Brygidy nowościa jest postawa kornej adoracji Maryi i nagość Dzieciątka. I tak wygląda Boże Narodzenie na obrazach włoskich, tak malują je we Flandrii na północy.



Święta Brygida, patronka Europy, fot. pinterest

Z nadejściem renesansu i baroku służy ukazaniu boskiego światła bijącego od Dzieciątka również technika miękkiego *sfumato*, roztapiana konturów i wydobywania ich z tła. Tak jest na obrazie Antonia da Correggio (1489-1534), mistrza dojrzałego renesansu, który zapożyczył je od Leonarda. Mozna powiedzieć, że tematem tego obrazu jest blask bijący od Dzieciątka. To nie tylko umiejętność błyskotliwego posługiwania się *chiaroscuro* i iluministycznymi efektami. Sceny Narodzenia są nokturnami. Mistyczne światło, którego źródłem jest maleńki Jezus, rozjaśnia

twarze zgromadzonych wokól osób, za którymi ten cudowny „blask ciemnieje”. I granicami dla Nieskończonego staje się krąg światła wokół żłóbka, bezradność dziecka, Dziecięcia, które stanie się światłem narodów. Corregio, niezbyt wpływowy za życia, wyznacza tym obrazem trend, który swoje wspaniałe rozwinięcie znajdzie w wizyjności baroku i w malarstwie XVIII wieku.

***

Inaczej zupełnie sytuacja wyglądała w Anglii, na co złożył się szereg przyczyn. O szopce mowy tam być nie mogło, ba, nawet przejawy radości inkryminowano. To ważny wątek nie tylko w dziejach samego Bożego Narodzenia.

Znienawidzonych irracjonalnie papistów, czyli katolików, ścigano i prześladowano z mocy prawa od czasu Aktu supremacji z 1534 roku i w kraju dość szybko obok oficjalnego Kościoła anglikańskiego zadomowiły się wyznania reformowane, które w XVII wieku miały wielu zelotów, zwłaszcza w parlamencie. Lord protektor, Olivier Cromwell, „człowiek pijany Bogiem”, Bogiem surowym i nieludzkim, przewodził purytanom, którym Boże Narodzenie kojarzyło się z „hałaśliwym rozwydrzeniem za aprobatą kleru”. Jak pisał Andre Maurois, ludzie ci, poważni i ponurzy, nie strzygli włosów, żyli w ciągłej obawie przed grzechem, nienawidzili teatru, a dzieciom nadawali biblijne

imiona. Poczuli się „nowym Izraelem”, ludem wybranym i nieomylnym w tym wybraństwie, a stara wesoła Anglia z „Opowieści Kanterberyjskich” Geoffreya Chaucera musiała zniknąć na dobre. Pisano, iż stała się „cnotliwa z konieczności”, a purytanie w napuszonej powadze na swoich barkach nieśli brzemię wybraństwa.

I kiedy zakazali świętowania Bożego Narodzenia, któż by się ośmielił przeciwstawić, skoro ludzie mogli jeszcze mieć w pamięci nieprawdopodobnie okrutne publiczne kaźnie duchowieństwa i świeckich, a po kraju jeździły komisje obmierzające mury wiejskich siedzib, by wykryć dzięki temu „priest’s hole” – kryjówkę na księdza. Lord protektor grzmiał, piętnując „pogańskie tradycje” nie tylko kolędowania, ale także i przyozdobionej choinki.

Czasy długiego parlamentu w latach rewolucji angielskiej (1640-1659) doprowadziły do pierwszego oficjalnego królobójstwa. Purytanom już od 1569 roku marzyła się protestantyzacja Kościoła Anglii na wzór kalwiński. Kościół katolicki był według nich zdegenerowany, ozdoby, rytuały, a nawet grę na organach uznawali za bałwochwalstwo, z zapałem piętnowali „papistowski przepych i łachmany” jak pogardliwie określali bogate szaty liturgiczne. O szopce, mającej także istotny aspekt maryjny nie ma nawet co wspominać w czasach judaizacji protestantyzmu w Anglii. Świętowanie Narodzin

Dzieciątka, karane od 1644 roku, przestępstwem politycznym było aż do formalnego rozwiązania parlamentu. Trzeba było jednak czasów królowej Wiktorii, aby zaczęto je na nowo świętować.

Nienawiść do okazywania radości, do wesołej zabawy i rozbudowanej, w porównaniu z wyznaniami reformowanymi, obrzędowości katolicyzmu, dziwnie towarzyszy rewolucjom. Kiedy kolejna dokonała się we Francji, jej ostrze wymierzone było także w Kościół, a hasło wolności, równości i braterstwa zamykało się złowieszczym – lub śmierć – „liberte egalite, fraternite – ou la mort". I zbierała obfite żniwo, zwłaszcza w Wandei, gdzie mówić należy o ludobójstwie urządzonym dlatego, że lud chciał i króla, i księdza. Zniesiono święta, wprowadzono nowe, próbowano ustanowić kult rozumu bądź Istoty Najwyższej, a na gilotynie spadały głowy. Kiedy w lipcu 1794 roku poleciała głowa Maksymiliana Robespierre'a, odstąpiono od superekumenicznego ubóstwienia Rozumu, ale dopiero po ośmiu latach tę pseudoreligię wyklęto w ustawie o kultach.

Kiedy wcześniej szalał terror, na południu, w Prowansji, gdzie podobnie jak w całej Francji pozamykano kościoły, zakazano jasełek, lud nadal wierny i wierzący zaczął prokurować dla siebie skromne figurki z gliny, wosku, szmatek, z tego, co było dostępne i mogło się nadać, i ustawiał we własnych domach. Była to cicha mała kontrrrewolucja. Po 1826 roku nazywano figurki

już *santons*, po prowansalsku – *santoùons*, czyli małymi świętymi, świątkami.



Szopka prowansalska, fot. https://www.francetoday.com/



Szopka prowansalska, fot. https://www.francetoday.com/

W 1897 roku Jean-Louis Lagnel z Marsylii, który odlewał przedtem figury dla szopek kościelnych zaczął produkować malutkie figurki, dostępne dla obywateli, którym pozamykano kościoły. Ustawiali *santons* u siebie w domach i tak rodziła się tradycja szopek prowansalskich, z miejsca zdobywając serca ludzi.

Do żłóbka zdążali, jak zawsze, pasterze, trzej królowie, ale szopka, podobnie do jej arystokratycznej krewnej z Neapolu, zaczęła przedstawiać lokalną okolicę, ze zbiorami lawendy na

polu, miasteczka, warsztaty, sklepiki, wnętrza domów i ludzi przy pracy, zajętych swymi rzemiosłami, niezbędnymi dla codziennego życia. Pokazywano np. odlewanie świec. Figurki najczęściej przedstawiane są do tej pory w strojach z XIX wieku.

Tak jak szopka neapolitańska, prowansalska kontynuowała kontrreformacyją poetykę Narodzenia, osadzając je w świeckim świecie rzemieślników, ludności miejskiej i wiejskiej. Przez dość długi czas nie znajdowała jednak uznania ani w oczach władz kościelnych, ani nłodej republiki – pisze Thirza Vallois w internetowym opracowaniu historii *santons*. Kościół uznawał je raczej za zabawkę dla dzieci, republikę niepokoiła natomiast ekspresją regionalnej tożsamości. Ale ludzie pokochali *santons* i w 1886 roku zarejestrowano sprzedaż 180 tysięcy figurek na targach w Marsylii. To tam w 1803 roku zorganizowano pierwsze. Dziś jest ich więcej i twórcy figurek, *santoniers*, rozstawiają stoiska w wielu miasteczkach.

Drugim historycznie targiem stało się położone 10 km na wschód od Marsylii Aubagne, znane ze swojej gliny jeszcze z czasów gallo-rzymskich. W Arles odbywa się nawet Międzynarodowy Salon Santonierów. Targi zaczynają się w listopadzie w Tarascon, Gardanne. W kolebce *santons*, Aubagne, odbywają się tylko w lata parzyste.

Największą na świecie szopką według „Księgi rekordów

Guinessa” jest szopka wystawiana w miejscowości Grignan na powierzchni 1000 metrów kwadratowych, a zamieszkuje ją ponad tysiąc *santons*. Stanowi atrakcję turystyczną, z płatnym wstępem od listopada do końca lutego.

Aktualizacje od dawna dostarczają tematu do rozmów i nic w tym dziwnego, świat obfituje w wydarzenia domagające się komentarzy. W świat *santons* będący wyrazem przywiązania do małej ojczyzny wkracza od czasu do czasu polityka. W epidemicznym roku do figurek dołączyła podobizna prof. Didiera Raoulta, lekarza i mikrobiologa z Marsylii, który… używa przeciwmalarycznej hydroksychlorochiny (stosowanej z powodzeniem od 80 lat) jako środka przeciw koronawirusowi. Profesor został oskarżony… choć hydroksychlorochiną leczyli się Donald Trump i prezydent Brazylii Jair Bolsonaro. Raoult, posiadacz Legii Honorowej i licznych odznaczeń za swoje osiągnięcia, odmówił w marcu udziału w pracach naukowej komisji doradczej ds. epidemii powołanej we Francji. Stwierdził krótko, że nie ma tam ani szczypty naukowego rozsądku. *Santon* w białym lekarskim fartuchu i długimi potarganami włosami ma 7 cm wysokości i kosztuje 10 euro.



Szopka Krakowska, Bronisław Pięcik, 1998 r. Muzeum Krzysztofory, Kraków

Tradycją, która doczekała się w 2018 roku wpisu na listę niematerialnego dziedzictwa kultury UNESCO jest szopka krakowska, powstała w XIX wieku, kiedy

> rzemieślnicy z podkrakowskich wsi zimą tworzyli grupy kolędników, urządzające kukiełkowe jasełka w obnośnych szopkach skrzynkowych. Budowali oni również szopki małe,

> które mogły stanąć w mieszkaniach.

Nie były one domeną tylko Krakowa, ale te krakowskie dzięki swojej bajecznej architekturze stały się najbardziej znane. Wśród tych dawnych uwaga należy się szopce Ezenkierów, Michała i jego syna Leona. Zakupił ją i ofiarował potem Muzeum Etnograficznemu w Krakowie Stanisław Estreicher, ktory pod pseudonimem wydał książeczkę na ten temat. Nazywa w niej Michała weteranem szopkowym.

> Od lat czterdziestu, bo od roku 1864 chadza zimą co roku z szopką po Krakowie, a jesienią lepi szopki i struga i ubiera figurki – pisał Estreicher. – Jego szopki mają sławę najpiękniejszych, figurki jego ubierania są najstrojniejsze. On to sam obmyśla te bogate wieże, kopuły, krużganki, zdobiące szopkę krakowską na wzór Wawelu lub wieży Maryackiej (…)

Dodawano też kopuły wzorowane na kaplicy zygmuntowskiej, a iglice wież zwieńczano wizerunkiem orła lub chorągwiami. Na kondygnację parterową składa się zwykle Brama Floriańska i Barbakan, a kondygnacja pierwsza odwzorowuje Sukiennice, gdzie też umieszczano w niszy stajenkę.

I w ten sposób świat szeroki i rozległy, pełen ludzi trudzących się i krzątających, zajętych swymi rzemiosłami, skurczył się do rozmiarów nierzeczywistego miasta-pałacu…

Na początku XX wieku do parafernalii bożonarodzeniowych doszły jeszcze długie skarpety, zapożyczone z holenderskiego zwyczaju wystawiania butów w dzień św. Mikołaja, aby święty biskup z Mirry miał gdzie umieścić prezent.Marnie wyglądają przy bogatych i pełnych znaczeń i uroku *presepiach*.

Najbardziej znana włoska pastorałka z poł XVIII w., ktorej autorem jest św, Alfons Liguori, na tle włoskich szopek, które są małymi dziełami sztuki:

Choinka i świąteczne kartki w historii

i tradycji



Marcel Rieder, Dekorowanie choinki, 1898 r., fot. Wikimedia Commons

Monika Klimowska *(Warszawa)*

Boże Narodzenie w Polsce ma niepowtarzalny, cudowny smak, zapach i urok. Większości z nas wydaje się, że święto narodzin

Dzieciątka było zawsze, od niepamiętnych czasów, że wigilijna wieczerza, choinka, prezenty, kolędy i pasterka, to coś, bez czego nie ma świąt. Nie całkiem jednak tak jest. Choć tak bardzo zrosło się z nami i jest nadal obserwowaną tradycją, nawet jeśli już nie w pełni, to wiele tych najbardziej powszechnych elementów bożonarodzeniowych zawdzięczamy… królowej Wiktorii i księciu Albertowi – generalnie… Niemcom.

I o ile z różnych względów politycznych od końca zeszłego wieku ze świątecznych kart i grafiki znikły odniesienia do samej istoty tych świąt, utrzymuje się na nich jeszcze choinka, czasem tylko iglasta gałązka z bombką. Narodziny, Dzieciątko – zginęły, zginął żłóbek, wół i osiołek, które, jak to pisał Jędrzej Kitowicz, „puchały" na maleńkiego Jezusa, by w lichej i mizernej stajence grzać go swoim oddechem.

Tymczasem to właśnie żłóbek, stajenka lub grota betlejemska wywodząca się z tradycji zapoczątkowanej przez św. Franciszka oraz objawienie św. Brygidy, które znalazły wspaniałe odzwierciedlenie w europejskiej sztuce, weszły do kanonu obchodów Bożego Narodzenia już w średniowieczu i stanowią o jego wyjątkowym znaczeniu kulturowym. Przetrwały – mimo wszystko – do dziś, a ich wyraz plastyczny w malarstwie, rzeźbie i parafernaliach wszedł na stałe do wielkiej tradycji historii sztuki europejskiej.

Wróćmy jednak do choinki. Pozostała ona głównym zwyczajem, który rozprzestrzenił się na cały niemal świat, a wywodzi się z Niemiec. Anglosasi, i nie tylko, zawdzięczają go ogromnej popularności królowej, która poślubiła Niemca – księcia z dynastii Koburgów rządzących w południowych Niemczech. Dla ścisłości należy przy tym wspomnieć, że świąteczne drzewko przybyło do Wielkiej Brytanii nieco wcześniej, zwyczaj ten wprowadziła bowiem żona króla Jerzego III, Zofia Charlotta (1744-1818), która podobnie jak Albert była Niemką. A tak między Bogiem a prawdą, od 1714 roku zasiadała na tronie brytyjskim dynastia niemiecka – hanowerska i sama Wiktoria Hanowerska od maleńkości mówiła po niemiecku. Dopiero w 1917 roku w genialnym posunięciu PR król Jerzy V zmienił nazwisko na Windsor, by nie kojarzyło się ono z Niemcami, z którymi toczyła się I wojna światowa.

Początkowo ustawiano drzewko tylko w prywatnych pokojach Charlotty, najpierw bez dekoracji, a do czasu jej śmierci choinki upowszechniły się już w warstwach ziemiaństwa i arystokracji. Zdziwienie nasze może budzić to, że początkowo bywał to czasem zimozielony cis albo bukszpan. Bo najprawdziwszą bożonarodzeniową choinką jest jodła lub świerk, co ustaliło się na dobre w czasach wiktoriańskich, w czasach Pana Pickwicka i „Opowieści wigilijnej" Charlesa Dickensa. W tym samym mniej więcej czasie, kiedy w połowie XIX w. angielska prasa rok w rok rozpisywała się o choince królewskiej, zwyczaj ustawiania

świerku lub jodły trafił do Polski, tyle że nie z Anglii, lecz został przejęty od niemieckich protestantów. Szklane, dmuchane bombki, też wynalazek niemiecki, pojawiły się w tym samym czasie, i podobnie, spopularyzowały się dzięki opisowi choinki królowej Wiktorii.

Po raz pierwszy miał je zrobić w słynącym z hutnictwa szkła miasteczku Lauscha w Turyngii pewien biedny dmuchacz szkła. Otóż bombki, w Krakowie zwane bańkami, dmuchacz formuje z rozgrzanego do płynności szkła i bez użycia jakiejkolwiek formy. Przezroczyste wydmuszki następnie trafiają do specjalistów od srebrzenia i lakierowania i dopiero potem można nanieść na nie dekoracje. W latach 80. odkrył je Frank W. Woolworth, amerykański przedsiębiorca, który na tym delikatnym, kruchym towarze zbił swój majątek. Zanim został magnatem sieci handlowej, zaczynał od sklepiku „wszystko po 5 centów", założonego za pożyczone kilkaset dolarów i importu niemieckich ozdób choinkowych. Ale w 1911 roku firma miała już blisko 600 sklepów. Można zaryzykować, że to właśnie wtedy zaczynała się komercjalizacja świąt Bożego Narodzenia, która doprowadziła później do zakupowego szału prezentowego i stosów pięknie zapakowanych paczek i paczuszek pod choinką.



Pierwsza świąteczna kartka pocztowa, fot. Wikimedia Commons

Jeden z charakterystycznych objawów tego zjawiska znajdziemy w ikonografii współczesnych świątecznych kartek, na których widnieją bombki, paczuszki i gałązki, rzadziej gwiazda (chyba że jest to poinsetia, nazywana też gwiazdą betlejemską). Zwyczaj ich wysyłania zapoczątkowany został w tym samym roku, kiedy w grudniu 1843 roku ukazała się drukiem „Opowieść wigilijna” Dickensa. Pierwszą taką pocztową kartę z życzeniami wymyślił Henry Cole, który zamówił rysunek i kazał go powielić. Widnieje na nim trzypokoleniowa rodzina wznosząca toast na cześć adresata, a poniżej umieszczono tekst życzeń. Flankują całość przedstawienia dzieł miłosierdzia – karmienie głodnych i odziewanie ubogich. Zwyczaj spotkał się z zainteresowaniem i kilka lat później poczta wydała ponad 2000 kartek, które szybko

znalazły nabywców. Kartki oczywiście ewoluowały, pojawiły się na nich odniesienia religijne, z czasem zdominowały je reprodukcje wspaniałych obrazów muzealnych ukazujące Narodzenie, pokłon pasterzy, Trzech króli itp. W wielu domach w Polsce ustawiano je wokół choinki. Towarzyszył temu pewien snobizm, może i chełpliwość z tych wystaw kartek, zagranicznych zwłaszcza. W którymś momencie pojawiły się też kartki gadżety, grające znane melodie.

Obecnie ludzie wolą raczej korzystać z internetowej komunikacji, jednak placówki Poczty Polskiej mają pełen asortyment kartek, z brokatem i bez, rysunkowych i fotograficznych oraz utrzymanych w najdłużej chyba utrzymującym się religijnym duchu. Ale poczta stara się przede wszystkim o swoich starych klientów, ludzi, którzy na internet już się nie przerzucą, przywiązanych do tradycji. Zwyczaj składania firmowych życzeń podchwyciły korporacje i rozmaite biznesy, ale… jakoś trudno wyobrazić sobie, by ktoś chciał chwalić się kartkami z życzeniami radosnych świąt, które sądząc po zamieszczanych na nich przedstawieniach są świętami choinki, gwiazdki, bombek i prezentów. No, może zaśnieżony wiejski pejzaż z tytułem słynnej austriackiej koledy, która podbiła cały świat – *Stile Nacht* wykonanej pierwszy raz w niewielkim austriackim miasteczku Oberndorf bei Salzburg w 1818 r. W Polsce i strefie sowieckiej rugowanie religijnych odniesień ze świątecznych kartek zaczęło się przed laty, pozwalam więc sobie już od pewnego czasu na ich

widok na sarkastyczne określenie „prazdnik jołki i jołocznych ukraszenij”.

Gdzieś moment, w którym globalizacja sprzęgła się z tymi sowieckimi z ducha manierami, przegapiłam, choć z pewnością miało to związek z rozwojem technologicznym i komputeryzacją. I ze zdziwieniem obserwuję, że jeszcze pamiętam kolędników chodzących po domach z szopką… a razem z nimi do środka wdzierał się mroźny powiew zimy. Oczywiście, pamiętam. I moje własne dziecięce zdziwienie, że przestawali chodzić, rozczarowanie, bo w którymś roku z rzędu już nie odezwał się dzwonek do drzwi, nie powiało mroźnym powietrzem. Kolędowanie na warszawskim Mokotowie ustało gdzieś w połowie lat 60. A było w nim coś cudownego, niezwykłego, przeczącego naturze miejskiego życia, w które w wigilijną noc wkraczał na chwilę świat nieco archaiczny. Wróćmy jednak do XIX wieku, a nawet i pradziejów, by przyjrzeć się choćby pobieżnie, jak powstawały kultura i zwyczaje związane z Bożym Narodzeniem i spróbować pojąć ich prawdziwy sens, najgłębszy, uniwersalny.



W latach czterdziestych i pięćdziesiątych XIX wieku królowa Wiktoria i książę Albert spopularyzowali nowy sposób obchodzenia Bożego Narodzenia. Rycina z 1840 roku przedstawia dwóch monarchów otoczonych dziećmi i prezentami wokół choinki, fot. Wikimedia Commons

W 1848 r. w ilustrowanym piśmie „The Illustrated London News” zamieszczono rycinę ukazującą królową, księcia małżonka wraz z dziećmi wokół udekorowanej choinki. Wtedy jeszcze choinki stawiano na stołach. Niewiele później, bo w latach 60., pojawiły się metalowe, ozdobne stojaki, które w wersji dla bogatych

mogły nawet mieć wmontowaną pozytywkę wygrywającą melodyjki. A rysunek z czasopisama, przedrukowany w Ameryce, przyczynił się do rozpowszechnienia choinki także w USA.

W krajach niemieckich zwyczajowe ustawianie choinki poświadczone jest źródłowo od 1605 r. Jak pisał anonimowy autor, mieszkańcy Sztrasburga mieli ustawiać świerki w swoich paradnych izbach i zawieszać na drzewkach różnokolorowe rozetki z papieru, jabłuszka, opłatki, słodycze, a i podobno nawet szych. W opisie mowa jest o „złotej folii”. Z innych źródeł wiadomo natomiast, że anielskim włosiem, jakie moje pokolenie pamiętać może z dzieciństwa i nazywanym lametą lub lasetą, była wyciągana cieniutko srebrna taśma. Ze srebrnej ozdoby w bogatszych domach anielskie włosy zmieniły się w szych i celofan.

Do 1860 roku choinka w Anglii na dobre zapanowała w salonach i hallach zamożnych rodzin, a od lat 70. ubierano ją w złocone zabawki. Były to strączki groszku, motylki, latarenki, klatki dla ptaszków i ptasie gniazda, koszyczki z owocami, złote jabłuszka i kiście winogron. W ten sposób z drzewka życia stała się drzewkiem dobrobytu, jaki klasie średniej zapewniała stopniowo przyspieszająca w XIX wieku globalizacja, zapoczątkowana zamorskim handlem.

Ale ozdoby choinkowe wpierw spotkały się z dezaprobatą

pastorów. Protestanccy teologowie byli bowiem najwyraźniej zdania, że nie godzi się przystrajać zielonego drzewka symbolizującego drzewo życia, skoro jest nim sam Jezus Chrystus.

Rzeczywiście, w choince kumulują się znaczenia teologiczne i dokonują inkulturacji symboliki jeszcze przedchrześcijańskiej. Nic to w gruncie nowego, inkulturacja towarzyszy religii z dawien dawna, a polega na tym, by dotrzeć z religijnym nowym przesłaniem do ludzi w tym konkretnym kontekście kulturowym, w którym żyją.

I dlatego wigilijne drzewko jest i drzewem życia, i rajskim drzewem, a obecność surowego drewna w malarskich przedstawieniach Bożego Narodzenia znajduje swoje odniesienie także do drzewa Krzyża, na którym dokona się i dokonało Zbawienie. W pismach Ojców Kościoła już samo rajskie drzewo żywota staje się także symbolem krzyża i ołtarza stojącego „w raju”. W świecie religijnym wydarzenia dzieją się bowiem i teraz, i w tamtym czasie, w tym i przyszłym, *in illo tempore*, teraz i zawsze, i w ten sposób wieczność przenika dzięki świętom w nasz ludzki ograniczony czas. Ten właśnie wymiar czasowieczności, wiecznego teraz umiejscowionego w historii liniowej odczuwa się najpełniej chyba właśnie w te święta i w Wielkanoc, dwa największe święta chrześcijańskie, których przeczucie znajdujemy w mrokach pradziejów, w naturalnych

skłonnościach *homo religiosus*, bardzo jeszcze związanego z naturą, rytmem pór roku i coraz śmielej poczynającego tworzyć kulturę.

Choinka, jaką po dziś dzień można spotkać na całym świecie, była w czasach starożytnych i wśród pogan zielonym drzewkiem, najczęściej świerkiem, lub tylko zimozielonymi gałązkami. Wiązało się to z tym, że w czas przesilenia zimowego, kiedy po najdłuższej w roku nocy nadchodzą coraz dłuższe dni, zwiastując nadejście wiosny, zapowiada ją w strefie chłodnej zieleń choinki i budzi nadzieję nowego życia.

Dekorowanie domów zielonymi gałązkami miało lokalne odmiany. W krajach słowiańskich wieszano drzewko czubkiem do dołu u powały i nazywano podłaźniczką, a sam czubek jodły, świerku lub sosny zdobiono. A to wstążeczkami, a to pajączkami, gwiazdeczkami ze słomy i bibułek i oczywiście tym, co można zjeść – orzechami, ciasteczkami, podłaźniczka miała bowiem za zadanie zapewnić domownikom zdrowie, zgodę, dostatek. Różne miała nazwy – jutka, podłaźnik, wiecha, ale także sad rajski lub Boże drzewko, co nader wyraźnie świadczy o pomyślnym przenikaniu się i wrastaniu chrześcijańskiego orędzia w zwyczaje pogańskie.



XIX-wieczny rysunek przedstawiający wieczór wigilijny w rodzinnym gronie, fot. Wikimedia Commons

Boże drzewka u powały zawieszano w południowej Polsce, od Lwowa po Śląsk, i zwyczaj ten utrzymał się jeszcze do lat 20. zeszłego wieku w Beskidach, Pieninach, Gorcach i na Podhalu.

Rajskie sady samą swoją nazwą wprost nawiązywały do Edenu, w którym rosło drzewo poznania. To ono, obwieszone jabłkami, było głównym rekwizytem średniowiecznych misteriów wystawianych w zachodnich Niemczech, a poświęconych historii grzechu i wygnania pierwszych rodziców. I nieprzypadkowo w wigilię Bożego Narodzenia przypadają właśnie imieniny Adama i Ewy – pierwszej ludzkiej pary.

Imię praojca wiąże się z hebrajskim słowem „adom" oznaczającym czerwony, od koloru gliny, z której Bóg ulepił Adama i słowem „adam" – „ludzie" oraz pokrewnym mu „adhamah" – „ziemią". Tak jakby nadpisano je na „ad-mu", które w języku akadyjskim używanym we wschodniej Mezopotamii oznacza „narodzenie".

Imię Ewa wywodzi się natomiast od pramatki ludów sumeryjskich „Awa" oznaczającego po prostu „życie", które ma w języku hebrajskim swój odpowiednik w postaci „havvah", czyli tej, która daje życie, rodzi.

Stamtąd, z terenów starożytnego Sumeru i państwa Akadyjczyków, które za Sargona Wielkiego (ponad 4 tys. lat temu) objęło poza samą Mezopotamią tereny przyległe, wywodzi się jeden z najstarszych motywów symbolicznych w postaci drzewa życia, przypominającego palmę i drzewa cyprysu, świętego dla Persów, symbolizującego płomień życia i świętego

też dla plemion aramejsko-kananejskich, po Cypr, któremu dał swoją nazwę.

Drzewo jako takie należy do symboli niezwykle płodnych znaczeniowo, przedstawia ono, jak pisze w swoim niezastąpionym „Słowniku symboli" Juan Eduardo Cirlot, „życie kosmosu, jego gęstość, wzrost, bujność, rodzenie się i odradzanie. Jest życiem niewyczerpanym, a więc oznacza nieśmiertelność".

Co więcej, symbol ten jeszcze przed neolitem nabrał znaczenia centrum i osi świata. Prastare znaczenie choinki jako drzewa życia, drzewa rajskiego i kosmicznego, na które nadpisze się chrześcijański sens Arbor Vitae, a jest nim sam Jezus Chrystus, spotka się później z głębszym wymiarem tych najbardziej rozbudowanych szopek neapolitańskich, a także prowansalskich. Wokół sceny Narodzenia Pańskiego starały się one zgromadzić i pokazać praktycznie cały świat. Gdyż Pan Jezus przyszedł do… i dla wszystkich, maluczkich i pokornych, ale też do wielkich i potężnych, narodów i ludów. Ten uniwersalny wymiar Narodzenia znalazł kapitalny wyraz właśnie w szopkach, które można stopniowo z latami rozbudowywać, powiększać o nowe scenki i elementy.

W środę, 23 grudnia 2020 r. ukaże się artykuł Moniki Klimowskiej o bożonarodzeniowych szopkach.

Głośna sława „Cichej nocy”



Fot. Foto-Rabe z Pixabay

Jolanta Łada – Zielke *(Hamburg)*

„Cicha noc, święta noc, pokój niesie ludziom wszem…” – któż nie

zna tej pieśni? Znajduje się w programie prawie każdego koncertu kolęd, a jej tekst przetłumaczono na ponad 300 języków i dialektów. Autorem jednej z polskich wersji tekstu jest Piotr Maszyński (1930). „Cichą noc” zawdzięczamy skromnemu organiście, który przyszedł na świat w miejscowości Hochburg w Austrii. Jej mieszkańcy postanowili przybliżyć wszystkim mniej wtajemniczonym jego sylwetkę poprzez przedstawienie teatralne zatytułowane *W poszukiwaniu „Cichej nocy”.*

Po raz pierwszy kolęda została wykonana publicznie 24 grudnia 1818 podczas pasterki w kościele w Oberndorf. Niedługo potem rozeszła się na cały świat, ale nazwisko kompozytora odeszło na jakiś czas w zapomnienie. Kiedy pieśń stała się popularna, zaczęto przypisywać jej autorstwo Józefowi Haydnowi, albo Wolfgangowi Amadé Mozartowi. Jednak prosty, liryczny utwór, ze spokojną, łatwo wpadającą w ucho melodią, nie pasował do stylu żadnego z klasyków wiedeńskich.

Pewnego dnia kapelmistrz nadworny Fundacji Świętego Piotra z Salzburga polecił swojemu sekretarzowi dowiedzieć się, kto tak naprawdę skomponował kolędę *Cicha noc.* Poszukiwania podjęte przez sekretarza stanowią treść przedstawienia, którego scenariusz napisał Martin Winklbauer z Halsbach w Bawarii. Spektakl wystawiany jest co roku w scenerii kościoła parafialnego w Hochburg. Poszczególne etapy wędrówki sekretarza przeplatają się w nim ze scenami z życia twórcy

pieśni, Franza Xavera Grubera. Obsada złożona z okolicznych mieszkańców liczy ponad pięćdziesiąt osób, występuje w nim również chór dziecięcy noszący imię kompozytora.

Franz Xaver Gruber (1787-1863) był jednym z sześciorga dzieci Józefa i Anny Gruber. Jego ojciec miał warsztat tkacki, który zamierzał przekazać synowi. Dlatego do osiemnastego roku życia Franz zajmował się głównie pracą przy krosnach. Andreas Peterlechner, nauczyciel w miejscowej szkole, zauważył talent muzyczny chłopca i zaczął udzielać mu lekcji gry na skrzypcach i organach. Po osiągnięciu pełnoletności, Gruber rozpoczął intensywne kształcenie muzyczne u organisty Georga Hartdoblera w Burghausen. W 1816 roku objął posadę organisty w kościele świętego Mikołaja w Oberndorf. Tam właśnie skomponował kolędę *Cicha noc* do słów Josefa Mohra.

Twórcy przedstawienia pokazują, jak trudne dzieciństwo miał Franz, który musiał po kryjomu uczyć się gry na organach. Przyłapany, dostawał lanie od ojca uważającego zajmowanie się muzyką za stratę czasu. Także rówieśnicy chłopca śmiali się z jego nietypowych zainteresowań. Rodzice przekonali się do talentu syna i do jego życiowego wyboru dopiero wtedy, kiedy musiał zastąpić chorego organistę podczas niedzielnego nabożeństwa i poradził sobie z tym znakomicie. Martin Winklbauer przedstawił swojego bohatera jako chłopca nieśmiałego, żyjącego w świecie muzyki, który potrafi

przeciwstawić się złu, kiedy zachodzi potrzeba. W jednej ze scen Franz, już jako młodzieniec, ratuje z opresji pokojówkę napastowaną przez żołnierzy napoleońskich, którzy pustoszyli Górną Austrię w 1806 roku.

Po zakończeniu spektaklu na scenie pojawiają się przedstawiciele różnych narodowości, którzy wykonują – solo lub w duecie – po jednej zwrotce kolędy *Cicha noc* w swoich ojczystych językach, nie tylko europejskich. W 2009 roku można było usłyszeć, jak brzmi ta pieśń w języku swahili, a rok później jedna z wykonawczyń zaśpiewała ją po tajlandzku. Miałam wtedy zaszczyt i przyjemność reprezentować nasz kraj i zaprezentować *Cichą noc* po polsku przy akompaniamencie gitarowym. Do udziału w tej imprezie zaprosiła mnie ówczesna Konsul Generalna Rzeczpospolitej Polskiej w Monachium Elżbieta Sobótka, która towarzyszyła mi na scenie, ubrana w łowicki strój ludowy.

Wszystkich, którzy w okresie adwentu zawitają do Austrii, gorąco zachęcam, aby udali się do Hochburga i poznali historię Franza Xavera Grubera, twórcy kolędy, która zyskała międzynarodową sławę. O tym, w jaki sposób społeczność Hochburga pielęgnuje pamięć o nim, można dowiedzieć się ze strony www.fxgruber.at

Kolęda *Cicha noc* w wykonaniu zespołu Mazowsze:

Zdzisława Donat – słynny sopran koloraturowy



Zdzisława Donat , fot. arch. prywatne artystki

Aleksandra Ziółkowska-Boehm:

Urodziła się Pani w Poznaniu w rodzinie miłośników muzyki. Ojciec Kazimierz – przedsiębiorca – był wielkim melomanem, matka Maria – sopran – ukończyła prywatną szkołę muzyczną, debiutowała przed wojną w Filharmonii Poznańskiej i Polskim Radiu. Po II wojnie światowej uczyła gry na fortepianie i akordeonie. Pani siostry: Teodozja (dr laryngolog-foniatra) i Kinga (dr psycholog,

muzykoterapeuta) ceniły muzykę i śpiew. Jak zapamiętała Pani atmosferę domu rodzinnego?

Zdzisława Donat:

Dom był pełen muzyki. Matka grając na fortepianie śpiewała nam do snu kołysanki m.in. Mozarta, Brahmsa. W czasie okupacji odbywały się w naszym mieszkaniu tajne, zakazane koncerty. Matka śpiewała swym pięknym koloraturowym sopranem, akompaniował jej młody syn Feliksa Nowowiejskiego – Kazimierz. Także sam kompozytor prezentował swoje utwory. Wraz z siostrami uczyłam się gry na fortepianie, z rodzicami chodziłam do filharmonii i opery. W dzieciństwie – pamiętam – rodzice popisywali się również moją koloraturką. Ukończyłam Politechnikę Warszawską w specjalności przyrządy optyczne, jednak pozostałam wierną muzyce i kontynuowałam równolegle studia muzyczne .

Chcę przywołać wybitną pisarkę emigracyjną blisko z Panią spokrewnioną Danutę Mostwin, która zmarła w 2010 roku w Baltimore. Mówiła o Pani zawsze z dumą. Jak ją Pani pamięta?

Danutę, żonę mojego kuzyna Stanisława Niedbała, poznałam gdy przyjechała do Polski w latach 80., wcześniej nie mogła ze względów polityczno -ustrojowych. Ofiarowała mi swą książkę

„Dom starej lady” (1958 r.) o losach byłych polskich żołnierzy, którzy pozostali w Anglii na emigracji, i „Szmaragdową zjawę” (jedną z części rodzinnej sagi) z przemiłym wpisem: *Zdzisi dzielnej, uroczej i kochanej przypominając czasy, które stają się historią, autorka, W-wa 14 lipca 1989.* Później podarowała mi wydaną w Londynie wspaniałą „Tajemnicę zwyciężonych” (1992) o Polakach walczących w czasie okupacji, połączonych wspólną tajemnicą, w tym o bohaterskich Cichociemnych, pilotach zrzuconych do kraju. Należał do nich także jej mąż Stanisław Niedbał ps. Bask. Zrzucony 10 maja 1944 r, miał wtedy 27 lat, był jednym z 29-u emisariuszy i kurierów Rządu Polskiego na Emigracji.

Które książki Danuty Mostwin szczególnie Pani ceni?

„Odchodzą moi synowie” i biograficzną „Tajemnicę zwyciężonych”; w książce „Trzecia wartość” zainteresowały mnie poruszane problemy przystosowania się rodzin emigrantów do nowych warunków życia.

Studiowała Pani śpiew w Warszawie i w Sienie, gdzie Pani nauczycielem był włoski baryton Gino Bechi, znany ze śpiewania m.in. Giuseppe Verdiego. Jak wspomina Pani pierwsze spotkanie z tym sławnym barytonem?

Z Ministerstwa Kultury otrzymałam stypendium na studia w

Accademia Chigiana. Byliśmy wraz z Andrzejem Saciukiem i Markiem Dąbrowskim dobrze „zapowiadającymi się” młodymi artystami. G. Bechi powiedział do mnie: *Bella voce, che bella voce*! Ale śpiewaj: *con gli occhi, con cuore* (oczami, sercem). Zapamiętałam także: *meglio una nota brutta ma con cuore* (lepsza nuta brzydka, lecz zaśpiewana z sercem).

W życiorysie czytam, że zaobserwowała Pani, że wielu znanych śpiewaków operowych, na przykład Bogna Sokorska, Bernard Ładysz czy Bogdan Paprocki, występowało początkowo w zespołach wojskowych. Po lekturze ogłoszenia w prasie, że Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego poszukuje solistów, zgłosiła się Pani na przesłuchanie i została solistką tego Zespołu zdobywając pierwsze kroki estradowe, przełamując tremę. Jak po latach patrzy Pani na ten okres?

Była to dla mnie swoista lekcja występów przed publicznością, oswajanie tremy. Dziś brzmi to dziwnie, ale wtedy w szkołach muzycznych nie było jeszcze zajęć z aktorstwa, treningów autogennych, ani studenckich przedstawień na deskach operowych. Obecnie młodzi mają taką szansę w ramach kształcenia. Dlatego dla mnie ta praktyka była zbawienna.

Debiutowala Pani w Poznaniu jako Gilda w „Rigoletto”, wystąpiła potem w Warszawie, także w Monachium,

Buenos Aires, Rzymie, Pradze, Neapolu, Brukseli, Moskwie, Helsinkach, Wiedniu, Weronie, Japonii. Była Pani pierwszą – po Adzie Sari – Polką po II wojnie światowej, która partię Królowej Nocy śpiewała na scenie mediolańskiej La Scali. To było wielkie przeżycie i wielka radość także dla Polski.



Zdzisława Donat, Grand Theatre de Geneve, fot. arch. prywatne artystki



Królowa Nocy, Gaertnertheater, Monachium 1972 r., fot. arch. prywatne artystki

Słynną partię Królowej Nocy w „Czarodziejskim Flecie” W. A. Mozarta śpiewała Pani w 52 teatrach operowych (swoisty rekord!) – między innymi w *Covent Garden*, na największych scenach świata, także w Stanach Zjednoczonych: w operze San Francisco i w *Metropolitan Opera*, w Seattle. Również na *Arena di Verona* z kilkudziesięcioma śpiewakami w słynnym wielogodzinnym

wieczorze „Opera for live”. A w MET-Opera w 80 lat po naszej sławnej Marcelinie Sembrich-Kochańskiej. Jak Pani pamięta amerykański okres?

W 1975 roku występując w operze San Francisco jako Królowa Nocy znalazłam w programie przy swoim nazwisku dwie gwiazdki – tak podkreślano wtedy amerykański debiut śpiewaczki! W 1981 r. w *Metropolitan Opera* w Nowym Jorku śpiewałam Królową Nocy w przyciągających dodatkowo publiczność dekoracjach i kostiumach projektu Marc’a Chagall’a. Mówiło się, że była to największa wystawa malarstwa żyjącego artysty. Wspominam z przyjemnością moich wybitnych partnerów, jak: Kathleen Battle, Lucia Popp, Matti Salminen, Martti Talvela, Christian Boesch, Tom Allen, David Rendall; znakomitą akustykę, publiczność i niezwykłą atmosferę tego wspaniałego teatru.

Nagrała Pani „Requiem, Missa pro defunctis” Romana Maciejewskiego dyr. T. Strugała (Polskie Nagrania), operę Paisiella „La serva padrona” dyr. J. Dobrzański (PN), arie operowe na „Z. Donat. Sławni polscy śpiewacy” (PN vol.8).

Opery: „Die Zauberfloete” Mozarta pod dyr. James Levine (RCA), „Die Entfuehrung aus dem Serail” Mozarta, dyr. G. Bertini (ZDF), „Der Schauspieldirektor” Mozarta dyr. F.Layer (ORF). Koncert: „Arena di Verona – Opera for

Africa” dyr. R. Paternostro i inne . Śpiewała Pani „Te Deum” Pendereckiego, „Chrystus na Górze Oliwnej” Beethovena…

Zdobyła Pani *Premier Grand Prix* na Międzynarodowym Konkursie Śpiewu Solowego w Tuluzie (1967) i w ramach nagrody wystąpiła w Opera du Capitole jako Rozyna w „Cyruliku sewilskim” (wykonując po francusku wersję sopranową tej partii). Pisano, że stworzoną dla Pani głosu była rola Łucji z Lammermoor (1968). Prawdziwy zachwyt wzbudzała Pani w repertuarze Mozarta i Pani śpiew w „Czarodziejskim flecie” został legendą. W „Czarodziejskim flecie’ w roli Królowej Nocy olśniła Pani Monachium i inne miasta Europy. Występowała Pani jako Królowa Nocy na scenach w Mainz, Teatro San Carlo w Neapolu, Hamburgu, Norymberdze, wiedeńskiej *Staatsoper*, Wiesbaden, Frankfurcie, Mannheim, Luxemburgu, Seattle, Portland, Vancouver, Tokio, Atenach i innych.

Prasowe relacje były znakomite – pisano z zachwytem o Pani głosie w „Opera News”, „The Observer”, „The Sun”. Pani Zdzisławo, czy dla Pani Mozart był i jest najwspanialszym kompozytorem?

Mozart uprawiał wszystkie gatunki muzyczne swojego czasu – każdy jest szczytem doskonałości. Brawurowe koloratury,

sięgające stratosferycznych rejestrów głosu w jego ariach operowych – ariach Królowej Nocy, M-me Herz oraz w ariach koncertowych jak „Popoli di Tessaglia", „Mia speranza adorata", fascynowały mnie i były kuszącym wyzwaniem. Śpiewałam wszystkie możliwie dostępne dla mego rodzaju głosu jego utwory i po zapoznaniu się przechodziłam z takim samym entuzjazmem do poznawania dzieł także innych kompozytorów. Fascynował mnie K. Szymanowski: „Stabat Mater", „Litania do Najśw. Marii Panny" itd, itd…. I to jest wspaniałe w moim zawodzie, stale można poszukiwać i ten zachwyt nad nowo poznaną pozycją repertuarową przekazać dalej słuchaczom.

Śpiewała Pani niejednokrotnie tę samą operę w kilku językach. Czy jest to swoiste wyzwanie dla śpiewaczki?

Role operowe jak np. Łucję, Gildę, Rozynę, Violettę czy Królową Nocy wykonywałam zarówno w języku niemieckim, włoskim jak i polskim. A tą ostatnią dodatkowo w angielskim. Rozynę także po francusku. Nie stanowiło to dla mnie problemu. Naturalnie trochę czasu potrzeba, aby się przestawić i przypomnieć sobie. Jednak – co jest satysfakcjonująco odczuwalne – że publiczność inaczej, żywiej reaguje, gdy rozumie operę śpiewaną w języku sobie znanym.

Otrzymała Pani piękne recenzje. Po premierze w Monachium dla recenzenta w „Süddeutsche Zeitung" była

Pani niczym *postać z miedziorytów z okresu wczesnego romantyzmu, z rycerskich romansów. Jest oszczędna w geście, w śpiewie zaś wyrafinowaną barwę stawia ponad efekciarstwo brzmienia: Scena obłędu, druga perła tej opery, którą z braku innych określeń nazywaliśmy całym łańcuchem uniesień, to najtrudniejsza próba możliwości śpiewaczki o najwyższym poziomie* – pisał recenzent „Badische Neueste Nachrichten" po premierze w Karlsruhe. Pięknie pisano w „Frankfurter Allgemeine": (...) *Pani Donat śpiewa koloratury również w legato, pozwala im się rozwijać z melodii jakby przypadkowo i zachowuje przy tym zawsze swój czarowny, dźwięczny tembr głosu, co jej Łucji pozwala uzyskać znacznie więcej wyrazu, aniżeli zdarza się to często nawet przy najwyższej perfekcji*.... Czy takie entuzjastyczne recenzje cieszą wciąż po latach?

Artysta czuje się spełnionym, gdy uzyskuje potwierdzenie zarówno u publiczności jak i u recenzentów, że występ się spodobał. Wracam myślami do tego okresu mojego życia i jestem wdzięczna losowi, że pomógł mi przeżyć te wspaniałe chwile kontaktu z widzami. A recenzje, jak wspomniałam, dają świadectwo rezultatu tych wielogodzinnych ćwiczeń, prób i wysiłków jakie wkładamy w naszą aktywność sceniczną.



Zdzisława Donat, fot. Zofia Nasierowska, arch. prywatne artystki



Królowa Nocy, opera „Czarodziejski flet”. Royal Opera House, Londyn, 1979, fot. Clive Barda, arch. prywatne artystki

Występowała Pani w amfiteatrach na Międzynarodowych Festiwalach Operowych…

Szczególnym wspomnieniem są dla mnie występy na otwartych scenach, jak np. amfiteatr Odeon w Atenach pod Akropolem *Herodes Atticus*. Zachwyca znakomita ich akustyka i lekkość z jaką tam się śpiewa. Niepotrzebne ani nagłośnienie, ani

mikrofony. Głos, jak my mówimy, sam niesie. Podobne wrażenie miałam w amfiteatrze rzymskim w Orange we Francji. W obu, w ramach Festiwali śpiewałam w „Czarodziejskim flecie" W. A. Mozarta.

Natomiast w *Arena di Verona* – gdzie z inicjatywy Jose Carrerasa wzięliśmy udział we wspomnianym już, wielogodzinnym koncercie na rzecz głodujących w Afryce, cała wielotysięczna widownia na zakończenie powstała i zaśpiewała z nami *Va pensiero* – chór niewolników z opery „Nabucco" Verdiego. Wzruszające…

Nadmienię jeszcze jedną, otwartą scenę, na jeziorze Bodeńskim. Na niej, pływającej wyspie, podczas *Bregenzer Festspiele* wystąpiłam w partii Konstancji w operze „Uprowadzenie z seraju" – Mozarta. Zarówno dla nas, jak i dla publiczności, te sceny stanowią wyjątkowe przeżycia.

Jak pisze Jan Stanisław Kiczor („Pisarze. pl", 7 sierpnia 2017) – została Pani pedagogiem wokalistyki. W latach 1994-98 prowadziła Pani klasę śpiewu w Akademii Muzycznej w Krakowie (Na tej uczelni nadano Pani tytuł profesora zwyczajnego), później współpracowała Pani z Uniwersytetem Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie, a także w Korei Południowej – w kształcącej muzyków placówce powiązanej z warszawską. Czy wielką

satysfakcją jest uczyć młodych ludzi?

Kształcenie w śpiewie jest w moim odczuciu ekscytujące. Dbając o prawidłową emisję, wrażliwość muzyczną, sztukę interpretacji, wspomaga się równocześnie rozwój intelektualny utalentowanej osoby. Powołuje się do istnienia kolejną indywidualność.

Jan Stanisław Kiczor zacytował Pani stwierdzenie: *Nie cierpię dystansu między ludźmi. Co cenię najbardziej? Odpowiedzialność.* Czy dalej tak Pani uważa?

Uważam, że poczucie odpowiedzialności jest zawsze cenne.

Kogo teraz Pani podziwia za śpiew?

Mamy wspaniałą polską szkołę śpiewu. Młodzi artyści zdobywają estrady światowe idąc śladami Piotra Beczały, Mariusza Kwietnia, Aleksandry Kurzak, Artura Rucińskiego, Rafała Siwka i wielu innych.

Osiągnęła Pani sławę i sukces. Jakie jest Pani przesłanie – co liczy się w życiu?

Pasja, praca, uczciwość, przyzwoitość… Odczuwam radość z osiągnięć, mam także świadomość że pochłaniająca mnie całkowicie pasja zawodowa uszczupliła czas dla mojej rodziny.

Przepełnia mnie ogromne uczucie wdzięczności dla mego męża śp. Tadeusza i syna Błażeja. Wspierali mnie i pozostawiali swobodne pole działania w podejmowaniu decyzji o występach. Tak dalekich przecież od naszego domu.

Pani Zdzisławo, czy śnią się Pani po nocach występy w wielkich słynnych operach?

Tak. Przypominają mi się wtedy także… chwile przerw w próbach, gdy z moimi partnerami operowymi szybko, ale jakże intensywnie rozmawialiśmy o rodzinach, domu. To nas wiązało w trwałe przyjaźnie. Wspominam np. moje sceniczne córki, Paminy np.: I. Cotrubas, Kiri Te Kanawa, E. Mathis, B. Hendriks, K. Battle… Wspaniałe głosy kolegów, jak K. Moll, P. Schreier, K .Rydl, J.van Damm, E. Tappy, F. Araiza, S. Estes, R. Lloyd, E. Nesterenko i wielu, wielu innych. Na przykład, śni mi się, że kurtyna idzie w górę, stoję na jakiejś scenie… nie wiem gdzie… nie wiem co mam śpiewać… Budzę się i myślę, jak dobrze, że to tylko sen… Uff!…

Wywiad ukazał się [w:] Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Radość ze scenicznych osiągnięć i wdzięczność dla rodziny, „Nowy Dziennik", NY 17-23 października 2020, s. 26.

Mój dąb w Suwałkach



Fot. Dariusz Sankowski z Pixabay

Jarosław Abramow-Newerly *(Toronto)*

Pierwszy raz zetknąłem się z Pojezierzem Suwalsko-Augustowskim bardzo dawno, bo w 1954 r. Byłem wtedy na studiach. Mój Ojciec zapalony myśliwy zabrał mnie ze sobą na polowanie na głuszca do Puszczy Augustowskiej. Jest to bardzo rzadki ptak i na jego odstrzał trzeba było uzyskać specjalne zezwolenie. Ojcu w tym polowaniu towarzyszył wytrawny myśliwy, redaktor naczelny „Łowca Polskiego” Zbigniew Kowalski oraz znakomity fotografik przyrody Włodzimierz Puchalski. Redaktor Kowalski miał uczyć Ojca trudnej sztuki

podchodzenia głuszca. Wymagało to najpierw pójścia wieczorem na tak zwane zapady, czyli wypatrzeć w puszczy, na którym drzewie głuszec zapadnie, aby rano, kiedy tokuje na sośnie wabiąc samicę podejść go i ustrzelić. W czasie toków mniej słyszy, ale i tak jest bardzo czujny i wymaga od myśliwego specjalnych umiejętności.

Rejon naszego polowania znajdował się w leśnictwie położonym blisko śluzy Przewięź na Kanale Augustowskim. Zgodnie z planem przed zmierzchem udaliśmy się wszyscy czterej na podchody. Redaktor Kowalski był przedwojennym doświadczonym myśliwym, znał świetnie las i niejednego głuszca w życiu ustrzelił. Wiedział świetnie, na jakiej mniej więcej starej sośnie głuszec może na noc zapaść. My szliśmy ze swoimi dubeltówkami na ramieniu, a Włodzimierz Puchalski z dużym aparatem fotograficznym na piersiach. To była jego broń. Ubrany był w strój myśliwski. Nosił na głowie zielony kapelusz, był w takich samych zielonych gumiakach i w kurtce w kolorze ochronnym. Panowie dobrze się znali i podczas tych podchodów przekomarzali się ze sobą.

Puchalski uznawał tylko bezkrwawe łowy, którą to nazwę sam wymyślił i popularyzował na licznych zdjęciach przyrody, z których był sławny, zamieszczanych między innymi w tygodniku „Przekrój”. Pochodził z Lwowa, miał lwowski akcent i duże poczucie humoru.

– Ty to, braszku, jesteś rzeźnik – mówił do Kowalskiego – Tylko byś mordował te biedne zwierzęta. Co to za przyjemność? Mnie to nie rajcuje. Prawdziwą frajdą jest ustrzelić głuszca z mojego aparatu i go nie zabić. Niech sobie dalej tokuje, śpiewak. Ot co!

Kiedy zbliżyliśmy się do przypuszczalnych zapadów Kowalski nakazał całkowitą ciszę. – Podbiegamy bezszelestnie parę kroków i zamieramy w bezruchu. Nasłuchujemy – pouczał Ojca zapominając o tym, że Tata nie ma jednej nogi, nosi ciężką skórzaną protezę i nie może biegać. Redaktor „Łowca Polskiego" miał jednak dobrego myśliwskiego nosa, bo mieliśmy szczęście wypatrzyć czarnego głuszca na wysokiej sośnie na której zapadł na noc. Puchalski go sfotografował. Miał w swoim aparacie przybliżający teleskop. Teraz pozostawało tylko jutro po cichu go podejść i ustrzelić. Nazajutrz zerwaliśmy się o samym świcie i ruszyli na podchody. Podziwiałem Kowalskiego jak pewnie prowadzi w miejsce zapadów. Z daleka usłyszeliśmy tokującego głuszca.

– Słyszycie? Cuszika. Mamy go! – rzekł Kowalski – Teraz, panie Igorze, tak jak mówiłem, podbiegamy parę kroków i zamieramy w bezruchu. Dobrze jak pan, młody człowieku – zwrócił się do mnie – zdejmie buty. Żadna gałązka pod stopami nie ma prawa zaszeleścić. On jest bardzo czujny. I łatwo go spłoszyć.

Podchodziłem go więc ofiarnie w skarpetach, podbiegając na

znak Kowalskiego tylko wtedy, kiedy głuszec siedzący wysoko w koronie sosny głośno tokował. Kiedy byliśmy już prawie na odległość strzału głuszec się nagle poderwał i odfrunął. Na nic więc zdały się rady Kowalskiego i moja ofiarność. Wróciliśmy z tych podchodów z niczym. Tylko Puchalski go ustrzelił i miał jego zdjęcie. Ja dodatkowo miałem mokre nogi. Kiedy przyszliśmy do Przewięzi czekał nas niezwykły widok. Do śluzy wpadł wilk i nie mógł z niej wyjść. Pazurami rozpaczliwie drapał w belki i wystawiał łeb z wody.

– Postaramy się go odłowić – rzekł leśniczy. Już nie pamiętam jak to zrobił, ale wilk został uratowany. W tym samym roku 1954 poznałem Suwalszczyznę. Pojechałem bowiem nad jezioro Wigry, o którym wiele opowiadał mi mój Ojciec, szczególnie zachwalając przepiękną rzekę Czarną Hańczę. Zamieszkałem w Domu PTTK, w którym nie było żadnych turystów. Łodzią na wiosła dotarłem do pustego klasztoru Kamedułów, który mieścił się na wysokim półwyspie. Z tego klasztoru mnisi zostali usunięci i ich eremy stały puste.

Następne moje spotkanie z Augustowem miało miejsce w lipcu 1962 roku. Postanowiliśmy spędzić tam wakacje razem z Włodzimierzem Odojewskim, Jerzym Krzysztoniem i Januszem Krasińskim. Dołączył do nas Zbigniew Herbert. Ponieważ żona Włodka, Inka Odojewska była bardzo wymagająca pod względem wygód, chciała mieć łazienkę z ciepłą wodą, Włodek wynajął

mieszkanie w nowym bloku. W jego ślady poszedł Jerzy Krzysztoń. Ja zamieszkałem niedaleko w domu leśniczego. Byliśmy tam więc w gronie młodych pisarzy. Lato tego roku było deszczowe spędzaliśmy więc czas w mieszkaniu Włodka Odojewskiego grając w pigwę. Stołowaliśmy się w jedynej restauracji „Stodoła". Zbyszek Herbert, który często bywał w Augustowie, słyszał o tragicznej historii. Właśnie w tej restauracji „Stodoła" kilku młodych chłopców po wypiciu paru piw posprzeczało się ze swoim rówieśnikiem Brunonem Wojciechowiczem. Wyprowadzili go z restauracji i pobili na śmierć. W szkole przezywano Brunona „Lalek", ze względu na zawsze schludny wygląd i delikatne maniery. Wszyscy chłopcy mieszkali na robotniczym osiedlu Lipowiec. Zbyszek znał matkę Brunona i pomógł jej we wszystkich czynnościach pogrzebowych. Był w prosektorium i identyfikował ciało zmarłego. Wziął udział w pogrzebie. Lalek zginął bo był kolorowym ptakiem wśród szarych wróbli. Drażnił ich swoją innością. I przypłacił to śmiercią.

Po dwóch latach Zbyszek Herbert napisał świetne słuchowisko radiowe „Lalek", którego akcja rozgrywała się właśnie w takiej prowincjonalnej knajpie. Bezsensowna śmierć młodego, niewinnego chłopca stała się kanwą tego utworu. Wszyscy interesowaliśmy się sztuką i usłyszeliśmy, że w Augustowie mieszka ciekawy ludowy rzeźbiarz, który nazywa się Jan Szostak i warto go odwiedzić. Rzeźbił w drzewie różne figury, w tym

świątki. Jego prace były interesujące i wszystkim nam się podobały. Pewnego wieczoru Włodek Odojewski wyraźnie poruszony powiedział:

– Zgadnijcie co mi w wielkiej tajemnicy powiedziała wczoraj nasza gospodyni? – No, nie wiem. Mów wreszcie – ponaglił go Jurek Krzysztoń. – Wyobraźcie sobie, że ten cały poczciwy rzeźbiarz Szostak w lipcu 1945 roku brał aktywny udział w wielkiej Obławie Augustowskiej przeprowadzonej przez wojska NKWD i polskie UB na tutejszej ludności. Wydawał w ręce Rosjan byłych żołnierzy AK. Nazwano go katem Augustowa – Nic o tej obławie nie słyszałem – powiedziałem zdziwiony – A widzisz! – odparł mi Włodek. – Bo to jest okryte wielką tajemnicą. Wywieziono wtedy z Augustowa i Suwalszczyzny mnóstwo ludzi w głąb Rosji. Wielu już nigdy nie wróciło z łagrów – No, proszę! – wtrącił Janusz Krasiński, który przesiedział dziewięć lat w stalinowskim więzieniu. – A on mi wyglądał na ubeka. Ja na nich mam nosa – stwierdził. – Krótko mówiąc do tego już doszło, panowie, że byli ubecy rzeźbią świątki i są ludowymi artystami – skwitował Zbyszek Herbert.

Wiadomości o tej obławie dużo później zostały odkryte i badacze tej zbrodni dowiedli, że ta akcja przeprowadzona została na osobisty rozkaz Stalina, który planując swoją podróż pociągiem do Berlina na pokojową konferencję w Pocztdamie, postanowił oczyścić teren z wrogów ludu.



Jarosław Abramow Newerly (z prawej) z ojcem, Igorem Newerlym w lesie na Mazurach, fot. arch. J. Abramowa Newerly’ego

Przez Marka Nowakowskiego na początku lat sześćdziesiątych poznałem znakomitego grafika Jerzego Jaworowskiego, autora świetnych plakatów i kierownika pracowni graficznej wydawnictwa „Czytelnik”. To Jawor, jak go nazywaliśmy, pięknie zilustrował pomnikowe wydanie „Trylogii” Henryka Sienkiewicza. Jurek Jaworowski był o czternaście lat starszy ode mnie i urodził się w Augustowie. Jego ojciec, Jan Jaworowski był

przed wojną powiatowym lekarzem w Augustowie. Jurek w dyskrecji przyznał mi się, że był aresztowany w Obławie Augustowskiej w lipcu 1945 roku i wywieziony w głąb Rosji, gdzie spędził kilka lat w łagrach, ciężko pracując w kamieniołomach. Dopiero grubo po wojnie udało mu się szczęśliwie wrócić do Polski i podjąć spóźnione studia. Jawor, który znakomicie znał ziemię augustowską, polecił mi na wakacje wieś Wojciech nad jeziorem o tej samej nazwie, które łączyło się z dużym jeziorem Białym. Pojechaliśmy do Wojciecha razem z Markiem Nowakowskim i jego żoną Jolą. Gospodarze państwo Woronieccy, co wtedy było wielką rzadkością, prowadzili gospodarstwo agroturystyczne i wynajmowali wczasowiczom pokoje z pełnym wyżywieniem. W Wojciechu spędzała również swoje wakacje żona Jurka Jaworowskiego – Hanka z dziesięcioletnim synem Piotrusiem. Jawor pracował w Warszawie i dojeżdżał do nas na niedzielę swoim autem. Miejscowość była przepiękna i te wakacje w Wojciechu uważam za jedne z najlepszych w moim życiu. Tam małego Piotrusia Jaworowskiego nauczyłem pływać. Zabrałem ze sobą mój składany kajak, którym pływaliśmy po jeziorze. To mi jednak nie wystarczyło i wyczytałem w przewodniku, że niedaleko stąd płynie rzeka Blizna i warto się na nią wybrać. Popłynęliśmy tam więc z Markiem Nowakowskim i ten spływ okazał się niezapomniany.

Blizna była całkowicie dziką rzeką płynącą przez szuwary i podmokłe łąki. Było to prawdziwe uroczysko. Na tej rzece

mogłem sobie wyobrazić jak wyglądały przedwojenne spływy Ojca na naszym Polesiu. Po obydwu brzegach rosła wysoka trzcina. Czasem z tej trzciny podrywała się spłoszona czapla. Dzień był wyjątkowo upalny. Żar lał się z nieba. Nie wzięliśmy ze sobą nic do jedzenia, ani do picia. Spragnieni wody piliśmy ją prosto z rzeki. Była krystalicznie czysta. Gdzie spojrzeć na płaskim terenie rosło tylko zielone sitowie. Nie sposób było wyjść na brzeg, bo wszędzie były dzikie moczary.

– Wpakowaliśmy się w niezłą wyrypę. Co, stary? – śmiał się ubawiony Marek. Pierwszy raz był na takim wariackim spływie i dzielnie wiosłował w czubie kajaka. Ja jako kapitan siedziałem z tyłu u steru. Nie mieliśmy wyjścia i skazani byliśmy na to wiosłowanie. Po kilkunastu kilometrach, zmordowani wiosłowaniem i tym upałem dopłynęliśmy do niedużego jeziora, w którym z rozkoszą się wykąpaliśmy. Późnym wieczorem zmachani ale i szczęśliwi, że tak po męsku sprawdziliśmy się na tej Bliźnie, wróciliśmy do domu.

W 1969 roku również Jurek Jaworowski polecił mi pensjonat pani Jasiewiczowej w Gawrychrudzie nad jeziorem Wigry. Był to jeden z nielicznych w Polsce pensjonatów. Nie zabrałem ze sobą kajaka, ale do dyspozycji pensjonariuszy były łodzie. Jedzenie było wyśmienite. Spędziłem tam bardzo miło dwa tygodnie. Po wielu latach w tym samym pensjonacie pani Jasiewiczowej w Gawrychrudzie przebywał w stanie wojennym świetny pisarz i

poeta Jarosław Marek Rymkiewicz, który opublikował potem książkę w Instytucie Literackim w Paryżu oraz w wydawnictwie drugiego obiegu „Rozmowy Polaków”, które umieścił w tym pensjonacie w Gawrychrudzie. Nie mogłem liczyć na wyszukanie mi nowego miejsca na Suwalszczyźnie, czy na jeziorach augustowskich na Jurka Jaworowskiego, bo niestety zmarł przedwcześnie w 1975 roku. Zachorował na wyjątkowo agresywną formę białaczki, na którą nie było ratunku. Dla naszego przyjacielskiego grona Jego odejście było wielką stratą. Ciągle z Markiem Nowakowskim (dopóki żył) i Jolą wspominaliśmy przemiłego Jawora.

W 1977 roku znów zatęskniłem za Wigrami i postanowiliśmy z moją Żoną Wandzią spędzić tam wakacje. W małej wiosce Zakąty, po drugiej stronie jeziora co Gawrychruda, swój dom pobudował mój stary przyjaciel z STS-u Stanisław Tym, który ukochał Zakąty, ten prawdziwy zakątek dzikiej przyrody. Staś Tym mieszkał w tym domu z żoną Anną, świetnym architektem, oraz chyba dziesięcioma psami. Najstarszy był chiński Czau-Czau, na którego dowcipny Staś wołał Fotel.

– To jest, drogi Jarku, mój Fotel – tłumaczył mi i lekko na nim siadał. Reszta psów to były kundle przygarnięte przez Stasia. My z Wandzią też przyjechaliśmy z psem pudlem, który urodził się w dzień świętego Huberta, patrona wszystkich myśliwych i Wandzia postanowiła go nazwać Hubert. W zdrobnieniu

nazywaliśmy go Hubek. Moja córka Basia, jak była mała, nie mogła tego wymówić i wołała na niego Ubek. Kiedy powiedziałem o tym Stasiowi, bardzo mu się to spodobało.

– Ubek do nogi. Znakomite! – śmiał się. Staś polecił nam gospodarzy, którzy zgodzili się nas stołować. Przetrwał tam prastary zwyczaj raz w tygodniu pieczenia dużych bochnów razowego chleba na liściach kalmusu. Ten razowiec posmarowany świeżo ubitym masłem i leśnym miodem smakował lepiej niż najlepsze ciastko od Bliklego. Te wakacje w Zakątach też były jedne z piękniejszych.

Moim starym kolegą jeszcze ze szkoły i ze studiów był Marian Jonkajtys. Marian zaczął studiować rusycystykę, ale znudzony studiami postanowił zdawać do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Namawiał mnie, żebym razem z nim poszedł na egzamin. Posłuchałem go i przygotowałem balladę Mickiewicza „Czaty". „Z ogrodowej altany, wojewoda zdyszany" – recytowałem w domu głośno. Ale w ostatniej chwili stchórzyłem i nie poszedłem z Marianem na ten egzamin. On został aktorem, a ja jako aktor wyżywałem się w teatrze STS. To aktorstwo w końcu mnie zmęczyło, wymagało grania każdego wieczoru, a ja wolałem być wolny. Większą przyjemność sprawiało mi pisanie tekstów dla aktorów i słuchanie reakcji publiczności. Z czasem Marian Jonkajtys został znanym aktorem estradowym, tańczył i śpiewał. Wraz z żoną, świetną piosenkarką Reną Rolską często

wyjeżdżał na tournee do Rosji, gdzie w znakomicie opanowanym języku rosyjskim prowadził konferansjerkę. Obydwoje byli bardzo popularni w Rosji. Kariera aktorska mu nie wystarczyła i w dawnym stalinowskim Domu Kultury na Targówku postanowił założyć Muzyczno-Estradowy Teatr. Kosztowało go to wiele trudu. Był bezpartyjny, ale dopiął swego. Stworzył „Teatr na Targówku", który dziś nazywa się „Rampa". Marian namówił mnie, żebym do jego teatru napisał musical. W tym celu zatrudnił mnie jak swojego doradcę programowego. Dzięki niemu napisałem musical „Kto mi śpiewa serenadę?", który wystawiony został w gorącym okresie pierwszej „Solidarności" w 1980 roku. Marian zagrał w nim głównego bohatera i brawuro odśpiewał i odtańczył moje piosenki.

Po wprowadzeniu stanu wojennego przestał być dyrektorem teatru, a ja wraz z nim straciłem posadę. – To co teraz będziesz robił? – spytałem go. – Postanowiliśmy razem z Renusią zerwać z zawodem aktorskim i nie występować już na estradzie – odparł mi. – To z czego będziecie żyć? Macie na utrzymaniu syna Grzegorza? – Zmienimy zawód. Przekwalifikujemy się – odpowiedział mi szybko. Nie bardzo w to wierzyłem. Ale Marian dotrzymał słowa i zaczął wyrabiać artystyczne przedmioty sprzedając je w „Cepelii". Został metaloplastykiem. Rzeźbił również w drzewie ludowe świątki. Uzyskał dyplom artysty rzemieślnika.

Tak jak Jawor pochodził z Augustowa i w 1940 roku jako dziewięcioletni chłopiec został aresztowany wraz z matką nauczycielką i starszym rodzeństwem przez NKWD. W nieludzkich warunkach wywieziono ich w bydlęcych wagonach aż do Kazachstanu. Tego długiego transportu podczas straszliwej zimy 1940 roku wielu ludzi nie wytrzymywało i zmarło z głodu i mrozu. Ich martwe ciała strażnicy wyrzucali z pociągu. Kiedy po miesiącu jazdy ten morderczy transport dotarł wreszcie do Kazachstanu przewodniczący Kołchozu powitał ich tymi słowami: – Was panowie iz Polszy przywieziono tutaj, żebyście wyzdychali.

Oni jednak wytrwali i na tym zesłaniu przeżyli sześć lat. O tym wszystkim Marian mi nie mówił w czasach PRL-u i pojęcia nie miałem, że jako chłopiec tyle się wycierpiał. Dowiedziałem się o tym dopiero po 1989 roku. Co ciekawsze Marian pomimo tych strasznych przejść nie żywił żadnego urazu do Rosjan. Wręcz przeciwnie. Poszedł na rusycystykę i znakomicie śpiewał na akademiach rosyjską piosenkę „My futbolisty” w duecie z drugim kolegą Markiem Lipszycem. Podczas stanu wojennego zaczął również pisać wiersze z czym się też krył. Dopiero pod koniec życia mi je pokazał i poprosił, żebym do nich napisał wstęp. Wydał tę książke w Instytucie Lwowskim u innego mojego wielkiego przyjaciela Janusza Wasylkowskiego, który ten Instytut założył w swoim mieszkaniu na Jelonkach w 1991 roku, nie mając w domu telefonu, ani samochodu. Po przeczytaniu tych wierszy byłem prawdziwie wstrząśnięty.

We wstępie do tej książki zatytułowanej „W Sybiru Białej Dżungli” napisałem: *Wiersze Mariana Jonkajtysa są naprawdę niezwykłe. Skromnie nazwane zapiskami mają coś z pamiętnika ocalającego miejsca, nazwy i fakty – jednocześnie zrymowane celnie i błyskotliwie, nierzadko z humorem. Niektóre utwory są klasy Feliksa Konarskiego – Refrena i innego Mariana – Hemara. „Marsz Sybiraków” ma na pewno ten sam ładunek uczuciowy co słynne „Czerwone maki na Monte Cassino” Refrena, czy „Karpacka brygada” Hemara. Nic dziwnego więc, że marsz ten, ze świetną muzyką Czesława Majewskiego, stał się Hymnem Sybiraków*.

Swoje poezje podarował mi Marian z następującą dedykacją: „Jarkowi – drogiemu Przyjacielowi z wyrazami szacunku i wdzięczności – Marian. Grudzień 2002.” Nie wiadomo kto komu powinien być wdzięczny – pomyślałem. Dzięki Marianowi napisałem musical „Kto mi śpiewał serenadę?” W niedługim czasie Marian Jonkajtys zmarł przedwcześnie na raka. Dziś jest bardzo szanowany jako poeta i bard Sybiraków, a Jego rodzinny Augustów uczcił Go nadając jednej z ulic nazwę Mariana Jonkajtysa. W teatrze Rampa ma także swoje upamiętnienie. Jego popiersie wita od lat gości w holu teatru. Wiersze Mariana mają jeszcze tę zaletę, że pisane były przez aktora i nadają się świetnie do recytacji.



Igor Newerly na kajaku, fot. arch. J. Abramowa-Newerly’ego

W 2003 roku Biblioteka Narodowa w Warszawie postanowiła urządzić wystawę w stulecie urodzin mojego Ojca. Pomysłodawcą i kuratorem tej wystawy był profesor Jan Zieliński, który wpadł na oryginalny pomysł by na tej wystawie wyeksponować drewniany kajak zrobiony przez mojego Tatę. Wystawa ta była bardzo udana i Muzeum w Suwałkach zgłosiło się, że chcą tę wystawę do siebie przenieść. Tak, że kajak Taty zawędrował do Suwałk. Jako gość honorowy zostałem zaproszony do Suwałk, gdzie pojechałem wraz z moją córką Basią. Uroczy dyrektor Muzeum Jerzy Brzozowski, po oprowadzeniu nas po wystawie, zaproponował bym w ogrodzie posadził drzewo na pamiątkę tego wydarzenia. Z radością to z Basią uczyniliśmy. Teraz ten dąb ma już siedemnaście lat. Tak, że Ojciec i ja mamy swoje drzewo w Suwałkach. Pracownik Muzeum starszy kustosz i kronikarz życia literackiego Suwalszczyzny – Zbigniew

Fałtynowicz obwiózł nas swoim samochodem po ziemi suwalskiej. Odwiedziliśmy m.in Stasia Tyma w Zakątach nad jeziorem Wigry.

Do napisania tych wspomnień zachęciło mnie dwóch wiernych synów Augustowa. Bogdan Falicki zamiłowany animator kultury i społecznik oraz założyciel Klubu Augustowian i Suwalczan w Warszawie i profesor Bernard Wielgat – uczony badacz w Instytucie Biochemii i Biofizyki. Mimo, że od lat mieszkają w Warszawie, Augustów i Suwalszczyzna jest w sercu ich małą Ojczyzną. Dzięki takim ludziom jak Oni pamięć o tej pięknej i doświadczonej ciężko przez historię ziemi wciąż jest żywa.